



## Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

**Prenumerata wynosi:** w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15. — w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionej agencji, przysyłając należyłość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowej. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwart. złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Zabia Nr. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

**Treść Numeru.** Od Redakcji. — Podróż po Danii. — Korespondencja ze Lwowa. — Ekonomia domowa. — Agencja główna w Galicji. — Przyjaciół Dzieci pismo tygodniowe illustrowane. — Pamiętnik Wacławy przez Elżę Orzeszkową. — Mąż i Zona powieść tłum. przez Paulinę Wilkońską.

### Od Redakcji.

Tygodnik Mód w kwartale drugim r. b. wychodzić będzie pod tymi samymi warunkami, w jakich wydawnictwo jego w roku bieżącym rozpoczęliśmy. Zachęcenii podwojoną prawie liczbą prenumeratorów, dolożymy wszelkich starań, aby godnie odpowiedzieć położonemu w nas zaufaniu. Utrzymując zatem arkuszowy dodatek z powieściami, dodawać będziemy jak dotąd albo arkusze illustrowane z ubiorami, jedynie nam dostarczane przez pismo *Modenwelt*, rozchodzące się nie tylko w kilkunastu językach po całej Europie, ale nawet w Stanach Zjednoczonych Ameryki: lub ryciny kolorowane przez artystów paryzkich w Brukseli wykonane, wreszcie tablice z krojami i deseniami do haftu.

Po ukończeniu powieści drukujących się, rozpoczniemy dwie inne oryginalną i tłumaczoną. Z tych posiadamy już następujące w rękopismach gotowe do druku a mianowicie oryginalne:

1. *Pierwsza i ostatnia miłość* przez Paulinę z L. Wilkońską.
2. *Serafina* przez Henryka Lisieckiego.
3. *Miłość i Szlachectwo* przez Stanisława Nowińskiego.
4. Powieść Jana Zacharjasiewicza, jakiej przygotowaniem już się Autor zajął.

Z powieści tłumaczonych mamy gotowe:

1. *Zagadkowe natury* powieść w trzech częściach Fr. Spielhagena tłumaczona przez Michała Gliszczyńskiego.
2. *Kamienne serce* powieść Gole Raymonda przełożona z niemieckiego przez St. Nowińskiego — i

3. *Bohater niezłomny* przez B. Auerbacha, przekład A. Callier.

W samym zaś numerze pomieszczać będziemy jak dotąd artykuły poważniejszej treści: Podróże, Korespondencje z Włoch, Wiednia, Lwowa, Krakowa i innych miejscowości, oraz przeglądy teatralne, muzyczne, sztuk pięknych i inne wiadomości.

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie . . . . . rs. 1 k. 50.  
w Cesarstwie i królestwie  
z przesyłką pocztową „ 2

Prosimy o przysyłanie pieniędzy wprost do Redakcji pod adresem w każdym numerze Tygodnika Mód umieszczanym.

### Podróż po Danii.

(Dokończenie).

Pomiędzy zbiorami Kopenhagi, jedno z pierwszych miejsc zajmuje zbiór starożytności północnych, wzbogacany ciągle nowymi zabytkami tu i owdzie znajdowanymi, do których należą przedewszystkiem starożytna broń, sprzęty domowe, groty dzid i złote ozdoby. Zbiór ten jest wytwornie uporządkowany i przedstawia stopniowy rozwój rzemiosł od czasów pierwotnych w których krzemień zastępował żelazo, aż do największego udoskonalenia wyrobów z tego metalu i innych. Przechowują tu także pod szkłem odzież i włosy królowej Gunildy, żony króla Harolda Harfagera, którą w Jutlandji jako czarownicę wbito na pal a następnie utopiono w bagnie. Szkielet jej znaleziono przed kilkudziesięciu laty, pogrzebano w święconej ziemi, włosy zaś, odzież i żelaza któremi ją przebijało, zostały umieszczone w muzeum. Nie podobna bez głębokiego wzruszenia patrzeć na przedmioty z którymi wiąże się tak straszne wspomnienie historyczne. Jakże okropne musiało być to widowisko! Dotykając widel których użyto dla zamordowania nieszczęśliwej Gunildy, zdaje mi się że słyszę

krzyki i błagania ofiary, że widzę dzikość ciemnej zaboronnej tłuszczy i zaciekłość katów. Jutlandja i wyspy duńskie dostarczają ciągle nowych przedmiotów na pomnożenie zbiorów, kamienie grobowe z pismem runicznym bardzo często się tam znajdują.

Przedsiębiorcę wycieczkę do Roeskilde już z daleka ujrzałem wieżę starożytną katedry. Miasto jest ponure jak wszystkie grody starożytne, lecz schludne, jak każde choćby najmniejsze miasto w Danii. Katedra jest jedną z najpiękniejszych budowli gotyckich jakie kiedykolwiek widziałem. Wieża wysmukła, ozdób mnóstwo, ale wszystkie szlachetne. Wnętrze bardzo bogate, bo nie szczędzono marmuru, złota i malowideł, co głębokie sprawia wrażenie. Są tu groby bardzo wielu królów duńskich i ich małżonek, z piękniemi i godnemi widzenia pomnikami.

Na zachód za Kopenhagą grunt podnosi się z lekka, przedstawia jednak ciągle tę samą pełną wdzięku rozmaitość. Ludność z natury pracowita, bardzo starannie uprawia ziemię. Pracowitość jest tak wrodzona mieszkańcom tego kraju, że niezmordowane palce kobiet i dziewcząt nawet wtedy robią pończochę, gdy głowa dźwiga naczynie z wodą lub inny ciężar. Widziałem dziewczynkę z jednej wsi do drugiej idącą, z dwoma młodszymi siostrami siedmio i pięcio-letnią i wszystkie trzy idąc i rozmawiając, bezprzestannie robiły pończochę; wszystkie przytem były schludnie i czysto ubrane. Pracowitość ta jednak nie łączy się ze zwykłą u nas wesołością. Pomiędzy ludem wiejskim w Danii, nigdy nie zdarzyło mi się słyszeć aby kto śpiewał. Wieśniak z Zeelandji jest zuchwały, daleko żywszy i przebieglejszy niż mieszkaniec Holsztynu, ale ani tak wesoły jak lud górski, ani tak rozmowny jak Saksończyk. Jutlandczyk zaś jest powolny ale pracowity i rozsądny.

Zeelandję możnaby nazwać spichlerzem Danji. Ziemia jest bardzo urodzajna, i wszędzie na pagórkach i w dolinach kołyszą się zboża. Tu i owdzie pomiędzy gruntami lub na łąkach bagniska i jeziora, opodal pasie się bydło. W wycieczkach moich na Zeelandji zwiedzałem także zagrody włościańskie. Domy są rozrzucone pomiędzy należącemi do nich polami, po większej części zbudowane dość niedbale z gliny i pokryte słomą lub trzciną. Zwykle nie mają dziedzińców, lecz tylko miejsce na mierzwę i bezpośrednio stykają się z polem. Ponieważ ziemia jest dobra i krucha, nie potrzeba tu innych narzędzi rolniczych prócz zwykłego pługa i brony. Konie zeelandzkie są średniej wielkości i dobrze zbudowane, szyje mają nie długie i dość grube, po większej części ciemnej maści, krowy wielkie lecz chude, owce tu i owdzie uszlachetnione. Konie, krowy i owce,



stoja po całych dniach na skoszonych łańcach koniczy-  
ny lub ugorach przywiązane.

Liczne pagórki, szmaragdowe łąki i malownicze la-  
sy bukowe na Zeelandji, przedstawiają miły, łagodny  
i wesoły obraz, a jednak z po za tego wszystkiego  
przebija się lekki jakiś smutek. Takim też jest wej-  
rzenie, taką duszą Duńczyka. Przypatrzyć się tylko  
tym łagodnym okrągłym rysom twarzy i wyrazowi  
ocz. Ludzie serca szczególnie są tu kochani i w ogó-  
le Duńczyk lubi szastać szlachetnemi, tklivemi uczu-  
ciami. Nawet język nosi cechę tej miękkości, a ru-  
chliwość w zwrotach mowy i całym sposobie mówie-  
nia nadaje mu coś kobiecego. Szezebiotliwość  
i sprzecanie się o drobnostki to słabe strony Duń-  
czyka, ztąd pochodzi ubieganie się za anegdotami  
i charakterystycznymi powiastkami. Cały korpus je-  
go i usta są nieustannie w ruchu, nie widać w nim  
nigdy ani powagi ani dumy. Lubi we wszystkim  
wygodę, ciasny surdut, wykrochmalony kołnierz od  
koszuli strachem go przejmują, nie znosi nic co by  
ruchliwość jego tamować mogło. Szczerzy i otwarty  
zawsze u niego co w sercu to i w mowie. Przytem  
pełen zdrowego rozsądku i żywej imaginacji.

Na północy gościnność jest często skutkiem samot-  
ności, przybycie obcego poczytywane bywa jako  
szczęśliwe zdarzenie, przerywające nudną jednostaj-  
ność. W Danji jednak gościnność jest cnotą, jest  
potrzebą serca równie jak u nas i bezwątpienia tyl-  
ko u nas, grzecznością zaś pewnie nas przewyższają.  
Spotkałem raz na ulicy człowieka niosącego ogromną  
bębkę: „bądźcie państwo łaskawi uważać,” prosił u-  
przejmie przechodniów. U nas roztrzącałyby wszy-  
stkich niemiłosiernie. Innym razem gdy byłem w te-  
atrze, sąsiad mój wychodząc, zostawił na swoim  
miejscu kapelusz a mnie obcego, prosił abym na nie-  
go uważał. Ponieważ sam gotów jest w każdej chwi-  
li do podobnej przysługi, ani pomyślał że ktoś mógł-  
by mu takowej odmówić.

Że Duńczycy mają smak bardzo wykształcony,  
widać to w każdym domu, na każdej ulicy, w każ-  
dym ogrodzie. W budynkach, sprzętach i urządze-  
niu domów unikają starannie wszelkiego poznego  
przepychu. Wyroby rękodzielnicze odznaczają się  
zarówno doskonałością jak ozdobnością, dla tego na-  
wet do Anglii wywożą z Kopenhagi bardzo wiele  
sprzętów. Szkoły ludowe które oczywiście wiele się  
przyczyniają do wykształcenia ludu, wybornie są u-  
rządzone. Oprócz szkół, jest jeszcze wszędzie bardzo  
wiele rozmaitych zakładów i stowarzyszeń, mających  
na celu podniesienie oświaty ludu.

Troskliwość o dobro publiczne wrodzoną jest Duń-  
czykom, równie jak dobroczynność, ztąd zwłaszcza  
w Kopenhadze istnieje mnóstwo zakładów dobroczyn-  
nych dla wdów i sierót, dla inwalidów, ubogich i t. p.  
Koroną jednak wszystkich cnot ludu duńskiego jest  
miłość ojczyzny, która czyni go zdolnym do wszel-  
kich ofiar i poświęceń.

S. N.

## Korespondencja ze Lwowa.

*Pulvis es!...* Nigdy może ta ponura dewiza po-  
piełcowa nie zaskoczyła nas wśród tylu balów i za-  
baw jak w roku bieżącym. Wir karnawałowy bo-  
wiem doszedł w tym roku do wcale niezwykłych  
rozmiarów. Lwów bawił się i hulał zwłaszcza w o-  
statnich dniach zapustnych z takim gorączkowym  
prawie pośpiechem i tak nieumiarkowaniem, jak gdy-  
by to były już ostatnie dni jego istnienia, a zaraz po  
ostatnim balu miał spaść na miasto deszcz ognisty.  
Poprzestaję na tej krótkiej wzmiance, bo obszerniej-  
sza i szczegółowsza kronika balowa mimo obfitego  
materiału, mogłaby znużyć czytelnika. Mielśmy  
dużo balów, ale wszystkie podobne były do siebie jak  
dwie krople wody, żaden z nich nie odróżniał się od  
zwyčajnego kroju jakąś oryginalniejszą cechą. Zre-  
szta i dla tego jeszcze byłaby szczegółowa kronika  
balowa niestosowną, że tęsknota czytelników za nie-  
dawno pogrzebanym karnawałem nie tak zupełnie  
została zniszczoną, by podobne rozważania karna-  
wałowe nie mogły obudzić przykrego uczucia żalu.

O jednym wszakże fakcie z lwowskich dziejów kar-  
nawałowych wspomnieć muszę bodaj w kilku sło-  
wach. Faktem tym jest reduta akademicka, na któ-  
rą czekali z wielkim rozciekawieniem wszyscy ama-  
torowie dowcipnej zabawy. Komitet młodzieży aka-

demickiej urządzający ten bal maskowy, umiał pod-  
syceić powszechną ciekawość szumnemi zapowiedzia-  
ni i obietnicami. Mianowicie zapowiedziano wiel-  
ki pochód masek charakterystycznych, czego dotych-  
czas we Lwowie niewidziano jeszcze na żadnym balu  
maskowym. Ta obietnica była tem ponętniejszą  
że stosunki lwowskie i nasze znakomitości, stać się  
mogły dla trochę tylko dowcipniejszej maski, niewy-  
czerpaną kopalnią dowcipów. Mimo to wszystko  
jednakże, reduta akademicka nie odpowiedziała pow-  
szecznym oczekiwaniom. Owe maski charakterysty-  
czne przedstawiały redaktorów wszystkich lwowskich  
pism politycznych i kilka ciekawych figur naszego  
społeczeństwa. Żadna jednakże z tych masek nie po-  
trafiła zaintrygować widzów, chociaż stosunki nasze-  
go dziennikarstwa tak są osławione i zabawne, że  
z łatwością mogłyby je wyeksploatować nawet czło-  
wiek nieobdarzony dowcipem lecz tylko większą dozą  
daru spostrzegawczego. W ciągu całych zapust te-  
dy nie zdobył się Lwów ani na jedną, prawdziwie do-  
brą i dowcipną redutę. Jestto dziwny fatalizm, boć  
przecież Lwów słynie ze swęj anormalnej liczby ama-  
torów i adeptów humoru. Cel finansowy tej reduty  
został jednakże zupełnie osiągnięty, bo sala była  
przepełniona a do kasy czytelnicy akademickiej wpły-  
nęły wcale piękny zasilek.

Podobno najstosowniej będzie wspomnieć w tem  
sprawozdaniu z ruchu karnawałowego, także i o wybo-  
rach do rady miejskiej, które odbyły się w ubiegłym  
miesiącu na podstawie statutu nowego, znacznie roz-  
szerzającego zakres kompetencji rady. Agitacja wy-  
borecza była bardzo ruchliwą a dziennikarstwo brało  
w nią udział ze zwykłą sobie werwą, którą w innem  
miejscie nazwanoby może nieprzyzwoitością. Nowa  
rada miejska zupełnie niepodobną będzie do swojej  
poprzedniczki. Z dawniejszych członków wybrano za-  
ledwie piątą część. Daj Boże ażeby nowa rada mia-  
sta Lwowa także i w czynnościach była zupełnie nie-  
podobną do swęj poprzedniczki, która słynęła z nie-  
zwykłej ospałości i braku zupełnego śmielszej inicja-  
tywy. Na takiej gnuśnej gospodarce Lwów ucierpiał  
ogromnie, a ludność była formalnie maltretowana.  
Każdą porę roku okupić musieliśmy sobie przykro-  
ściami, które tylko w małej mieścinie dałyby się u-  
sprawiedliwić. Na wiosnę i w jesieni brnąć każdy  
musiał w bezdennem błocie, w lecie połykaliśmy u-  
stawicznie nasz kurz wapienny, a w zimie mimowoli  
ślizgał się bez przerwy po trefiarach, pokrytych  
grubą warstwą śniegu i lodu, jak gdyby złamanie  
karku, rada miejska uważała za wcale przyzwoitą  
i zdrową nawet ewolucję. Strażnik na wieży ratu-  
szowej lubił także czasem naśladować gnuśność sła-  
wetnych rajców stolicy galicyjskiej, i nie spostrzegał  
ognia pod nosem, w skutek czego zdarzało się często  
że nasza straż ogniowa przybywała na miejsce poża-  
ru już tylko dlatego, ażeby przekonać się, iż dom  
zgorzał do szczytu. Jest to tylko mała część zarzu-  
tów robionych radzie miejskiej, obecnie już zdebron-  
zowanej szczęśliwie. Wszystkich jej grzechów wy-  
liczyć niepodobna, bo na to nie wystarczają rozmiar-  
y korespondencji, a zresztą de mortuis nil nisi bene!  
Wszyscy spodziewają się, że inną będzie gospodarka  
nowej rady, w której skład wchodzi żywiły inteli-  
gentne, ruchliwe i energiczne. Lwów skorzystać  
może ogromnie na tej zmianie, bo ma wszelkie wa-  
runki do szybkiego wzrostu i upiększenia. Srodków  
nie braknie, jeżeli tylko dzielna administracja potrafi  
wyzyskać wszystkie bogate zasoby.

Drugą ważniejszą sprawą dokonaną w ubiegłym  
miesiącu, jest oddanie dyrekcji tutejszego teatru nie-  
mieckiego panu Adamowi Miłaszewskiemu. Fakt ten  
ocenili rozmaicie nasze pisma, które korzystając ze  
sposobności, postawiły znowu kwestję zniesienia  
teatru niemieckiego na porządek dzienny publicznej  
dyskusji. Sprawa ta jest dla nas tak ważną a dla  
was tak niezrozumiałą, że niepodobna o niej mówić  
w tem miejscu bez krótkiego przynajmniej wyświece-  
nia tej genezy.

Polski teatr we Lwowie jest dziełem śp. hr. Skarb-  
ka, który wybudował na ten cel gmach wspaniały  
i szczerze wyposażył scenę, a z reszty swego milio-  
nowego majątku utworzył fundusz na wsparcie wdów  
i sierót. Ten piękny akt fundacyjny przyszedł do  
skutku przed kilkudziesięciu laty. W przywileju więc  
udzielnym hr. Skarbkowi na budowę teatru i założe-  
nie sceny polskiej, rząd zastrzegł sobie, że obok sceny  
polskiej istnieć będzie i niemiecka, za której egzy-  
stencję ręczyć musiał fundusz dla wdów i sierót. Czy-  
tając ten przywilej zdawałoby się mogło, że hr. Skar-  
bek prosił o pozwolenie na założenie teatru niemiec-

kiego, stawiając scenę polską dopiero na drugim pla-  
nie. Tak wielkie bowiem rząd przyznał przywileje  
teatrowi niemieckiemu, a tak przytem ograniczył za-  
kres sceny polskiej, że scena niemiecka została pania  
fundusów, a polska zdana została na łaskę i niełaskę  
losu. Dyrekcji sceny polskiej pozwolono dawać  
na rok tylko 110 przedstawień a scenie niemieckiej  
pozostawiono resztę wieczorów. Scena niemiecka  
ma dalej wyłączny przywilej urządzania balów ma-  
skowych. Jeżeli kto chce urządzić bal maskowy, jak  
to np. robią tutejsze towarzystwa, musi najpierw na-  
jać od dyrektora teatru niemieckiego salę, a potem  
zapłacić formalny haracz bo dziesiąty procent docho-  
du (brutto). Taki sam haracz pobiera scena nie-  
miecka z każdego przedstawienia amatorskiego, każ-  
dego koncertu, każdego widowiska. Nawet przejeź-  
dzająca przez Lwów menażerja płacić musi dziesią-  
tą część dochodu.

Mimo takich przywilejów, scena niemiecka o wła-  
snych siłach bez subwencji z funduszu skarbkowskie-  
go utrzymać się nie może, bo oficerowie tutejszego  
garnizonu i małe grono izraelitów uczęszczające na  
przedstawienia niemieckie, nie stanowi jeszcze nie-  
mieckiej publiczności. Ale w przywileju danym hr.  
Skarbkowi powiedziano, że scena niemiecka istnieć  
musi, więc fundacja dostarczać musi środków do jej  
utrzymania. Jestto wielka krzywda dla funduszu,  
który na tak szlachetne cele poświęcony został. Gdy-  
by przynajmniej w nagrodę za to istniał we Lwowie  
teatr niemiecki, który mogłby przedstawić klasyczne  
dzieła niemieckiej literatury dramatycznej! Ale o tem  
i myśleć nie można. Teatr niemiecki daje najgę-  
dsze farsy, bo tem tylko może zadowolić zmysł es-  
tetyczny swęj publiczności. Zresztą żaden lepszy  
artysta niemiecki nie zaangażowałby się do lwowskiej  
sceny niemieckiej, która nie ma swojej publiczności,  
a tem samem nie następuje pola żadnego do popisu  
i nie daje talentowi żadnej zachęty.

Personal artystyczny tutejszej sceny niemieckiej  
składa się zatem z aktorów i aktorek, którym brak  
talentu zamknął raz na zawsze przystęp do teatrów  
wiedeńskich. A jeżeli scena ta nie mogła przywa-  
bić do siebie jakich takich artystów, to tem mniej  
zechciałaby objąć jej dyrekcję człowiek z pewnem po-  
czuciem swęj misji artystycznej. Jakoż dotychczas  
obejmowali zawsze dyrekcję lwowskiej sceny nie-  
mieckiej przedsiębiorcy, goniący za lekkim zyskiem  
i w końcu wszyscy bankrutowali, bo nawet subwen-  
cja wypłacana przez fundację nie zdoła zastąpić pu-  
bliczności.

W obec takiego stanu rzeczy dziennikarstwo usta-  
wicznie przypominało wielką krzywdę wyrządzoną  
fundacji Skarbkowskiej, a pośrednio wdowom i sieró-  
tom. Ale głos dziennikarstwa nie doczekał się na-  
leżytego poparcia ze strony innych organów krajo-  
wych, których przedstawienia energiczne byłyby mo-  
że znalazły uwzględnienie. Mianowicie rada admi-  
nistracji fundacji Skarbkowskiej, nie wystąpiła tak  
energicznie w tej sprawie, jak to jej stanowisko na-  
kazywało. Członkowie rady uważali usunięcie przy-  
wileju sceny niemieckiej przed upływem oznaczonego  
czasu 50 lat, za rzecz niemożliwą i z tego powodu  
mleczaco przypatrywali się agitacji dziennikarstwa  
i różnych towarzystw.

Gdy przed miesiącem rozpisano konkurs na dy-  
rekcję teatru niemieckiego, zgłosił się pomiędzy in-  
nymi konkurentami także i pan Adam Miłaszewski,  
dyrektor sceny polskiej. Rada administracyjna fun-  
dacji Skarbkowskiej, protegując zawsze pana Miła-  
szewskiego, przyczem nieraz uchybić musiała nawet  
zasadom rozsądku i słuszności, uczyniła i tym razem  
zadosek życzeniu jego, powierzając mu na pięć lat  
dyrekcję teatru niemieckiego z roczną subwencją  
9,100 złr. (36,400 złp). Tak tedy p. Miłaszewski  
został dyrektorem obu teatrów! Nie wspominaliby-  
my nawet o tem, gdyby rada udzielając dyrekcję  
teatru niemieckiego panu Miłaszewskiemu, nie upa-  
trywała w tem wielkiego dobrodziejstwa dla fun-  
dacji skarbkowskiej, którem chciałaby pokryć gnu-  
śność okazaną przy agitacji za uchyleniem przywi-  
leju teatru niemieckiego. Cóż bowiem zyskała przez  
to scena polska albo fundacja? Scena polska zawsze  
będzie krępowaną co do liczby przedstawień, a wdo-  
wom i sierotom nie sprawi żadnej ulgi fakt, że co-  
rocznie tak znaczna suma wypłacana będzie z fundu-  
szów Skarbkowskich nie przedsiębiorcy niemieckie-  
mu lecz obecnemu przedsiębiorcy. Takimi wy-  
krętami pewna część członków rady a mianowicie  
sam kurator fundacji skarbkowskiej, stara się pokryć  
swoje niewłaściwe postępowanie, które niezawodnie



wpływie niekorzystnie na smutny i tak jej stan na-  
szej sceny pod względem artystycznym. Jeżeli bo-  
wiem obecny dyrektor dzisiaj przy swoim bardzo  
miernem uzdolnieniu i zupełnym braku artystyczne-  
go wykształcenia, nie potrafił sprostać swemu zada-  
niu, to o tyle smutniej wyglądać będzie w przyszłości  
teatr polski, gdy dyrektor jego kierując także sceną  
niemiecką, walczyć będzie musiał z podwójnymi tru-  
dnościami. Na to nie zwróciła uwagi ani admini-  
stracja fundacji skarbkowskiej ani dziennikarstwo na-  
sze, chociaż złe skutki tych zdwojonych zajęć są wi-  
doczne.

I w tej korespondencji dotknąć jeszcze muszę spra-  
wy odczytów dla kobiet. Tyle w tej sprawie napisa-  
no artykułów, tyle zużyto papieru, piór i atramentu,  
tyle głów mozoliło się na wymyślenie nowych argu-  
mentów i zdań, że przy równym zasobie pracy i ma-  
terjału można było napisać jakąś wcale pożyteczną  
książkę. Tymczasem artykuły i polemiki nie odnio-  
sły pożądanego skutku. Udało się wprowadzić pani  
Dobieszewskiej wywaleczyć dla dziennikarzy wstęp na  
galerję i obalić dawne grono prelegentów, ale za to  
nie powiódł się zupełnie plan radykalnej reformy od-  
czytów i przekształcenie ich w poważne prelekcje a-  
kademickie. Odczyty dzisiejszych prelegentów są  
zupełnie podobne do dawniejszych. Co więcej, pani  
Dobieszewska wytykając dawniejszym odczytom ton  
popularny, popadła sama w ten błąd, a krytyka za-  
wyrokowała skwapliwie, że odczyty jej mimo rzetel-  
nych zalet treści i formy, nie mogą mieć pretensji do  
wyczerpujących rozpraw naukowych, których doma-  
gała się prelegentka od poprzedników swoich. Czy  
w obec tego faktu nie nasuwa się mimowoli myśl,  
że hasłem polemicznych artykułów pani Dobiesz-  
ewskiej było może: stawiam się wyżej nad wszystko.

Obok odczytów dla kobiet ma Lwów jeszcze inne  
rozrywki, które uprzyjemniają mu ciszę wielkopos-  
tą. I tak mamy częste przedstawienia amatorskie,  
na rozmaite cele dobroczynne i koncerty. Miano-  
wicie wspomnieć należy o koncertach pana Tabor-  
skiego, który wysokim talentem swoim bardzo zaim-  
ponował tutejszemu światowi muzycznemu. Niezła  
rozrywka dla pewnych osób we Lwowie są także  
przedstawienia magnetyczne dra. Campanille, który  
od dawna bawi we Lwowie z panną Hersylją produ-  
kującą się publicznie ze swoim darem jasnowidzenia.  
Ale podobno przyjdzie panu Campanille wywieść ze  
Lwowa niezbyt przyjemne wspomnienia, bo Lwów  
jest aż nadto sceptycznym a raczej praktycznym, by  
dowiedzieć mógł wszelkim zjawiskom nadnaturalnym.

Liczba pism lwowskich znówu się powiększyła.  
W Lutym wyszły dwa zeszyty *Chochlika* i odtąd już  
pismo to wychodzić będzie regularnie, co dwa tygo-  
dnie w dwuarkuszowych zeszytach ilustrowanych.  
*Chochlik* słusznie pochłubić się może swoim bardzo  
oryginalnym charakterem, który korzystnie wyróżnia  
się od innych naszych pism literackich. *Chochlik* jest  
na pół poważnym, na pół żartobliwym i zajmuje się  
sprawami politycznymi, literackimi, artystycznymi—  
słowem nie pomija niczego, czem zająć się pragnie  
musi umysł prawdziwie inteligentny. Dziś *Chochli-  
ka* specjalnie humorystyce poświęcony, dotychczas  
najlepiej jest redagowanym. Ilustracje nie są wpra-  
wdzie tak świetne, jak waszych tygodników ilustro-  
wanych, ale kto zna dobrze trudności, z jakimi we  
Lwowie wydawnictwo pisma ilustrowanego połączo-  
nem być musi, temu ilustracje *Chochlika* zaimpo-  
nować mogą. Za wiele miejsca zajmuje niepotrzeb-  
nie w *Chochliku* rubryka sportu, która chyba tylko  
właścicieli pięknych stadnin interesować może. Jeżeli  
*Chochlik* wprowadzeniem rubryki sportowi specja-  
nie poświęconej, pragnął zdobyć sobie wielką ilość  
prenumeratorów pomiędzy sportsmanami, to może  
go spotkać bolesny zawód, bo *Szczutek* słusznie uwa-  
żał, że w Galicji sport zaczyna się właśnie od zanie-  
bdywania wszelkich książek i pism.

Wspomniałszy o *Szczutku* dodać muszę, że pismo-  
ko to poświęcone efemerycznej humorystyce, bardzo  
dobrze wywiązuje się ze swego zadania i coraz więcej  
zyskuje amatorów. *Chochlik* nie robi mu żadnej  
konkurencji, bo programy obu pism mimo wspólnej  
cechy humorystycznej, są zupełnie odmienne. Wie-  
dzą o tem ich redaktorowie, i dlatego w przykładowej  
zgódzie żyją ze sobą, a polemizują tylko z konieczno-  
ści dla ożywienia pism. Ta zgoda zadziwiła bar-  
dzo Lwów, gdyż tutaj zgoda pomiędzy redaktorami  
pism humorystycznych albo politycznych, jest poję-  
ciem wcale nieznanem, mistycznym.

Doczekaliśmy się nowego utworu młodego a bar-

dzo utalentowanego poety, Józefa (Trzywdara) Tre-  
tiaka, który przed miesiącem wydał piękny poemat  
pod tytułem: *Królewska para*. Treścią poematu  
jest romantyczny stosunek króla Augusta z Barbarą  
Radziwiłłówną, który tyle razy przedstawiony już  
był w kreacjach artystycznych, dramatycznych i po-  
wieściowych. Temat więc tego poematu nie jest  
świeżym i tylko piękny talent mógł z niego utworzyć  
dzieło oryginalne, nie przypominające w niczem ty-  
lu nędznych reprodukcji na ten sam temat osnutych.  
Pan Józef Tretiak należy niezawodnie do nielicz-  
nego dziś u nas grona prawdziwych poetów z pięknym  
talentem i wyższym poletem ducha.

Wysła także niedawno komedia: *Stosunki rodzin-  
ne* hr. Witolda Dunina Borkowskiego, który należy  
także do grona młodszych utalentowanych pisarzy.  
Komedia ta przedstawiona była na lwowskiej scenie  
przed kilku laty i sympatycznie została przyjęta przez  
krytykę i publiczność.

Br. Ł.

## Ekonomia domowa.

Kwestja pieniężna.—Wychowanie: uylitarne.—Prace  
i bogactwo.—Zarząd domu pod względem oszczędności.  
Budżet dochodów i rozchodów.—Rachunkowość.

Kwestja pieniężna w naszych czasach tyle nabrała  
wagi, iż dziwnem się zapewne wyda że w ekonomji  
domowej pierwszego nie zajęła miejsca. Postawiłam  
ją po innych nie dla tego, abym nie uznawała potęg-  
gi pracy, która stwarza bogactwo, i oszczędności  
która je zachowuje, lecz że przedmiotem niniejszej  
nauki jest przedewszystkiem wykazanie, o ile mądry  
rozkład czasu, porządek i systematyczność w domu,  
użycie rozumu w rodzinie i w społeczeństwie, zapew-  
niają spokój, godność i szczęście życia. Dla młodej  
osoby przysposabiającej się do spełnienia obowiąz-  
ków kobiety, posiadanie pieniędzy, zamożność, ma-  
jątek, powinny być uważane tylko jako środek do  
osiągnięcia najwyższego celu wychowania, którego  
jedną gałęzią jest ekonomia domowa. Biada rodzin-  
nom, biada ludom dla którychby potrzeba zbogace-  
nia się, miłość złota, namiętność materialnego uży-  
wania, stały się jedynym lub głównym przedmiotem  
działalności.

Przychodzą pewne epoki gdzie całe społeczeństwo  
zdaje się zatopionem w materialnych interesach.  
Najgłośniejsze epoki przedstawiają niekiedy tak  
smutne widowisko. Horacy porównywał Rzymian  
swojego czasu, rachujących ile przyniesie może pie-  
niądz umieszczony na grube procenta, z Grekami dla  
których żądza chwały pierwszym bodźcem. Boileau  
z gorzką ironią wytyka współczesnym jak synów  
uczą, że pieniądz jest wszechwładnym, a cnota nie nie  
przynosi.

Nie tylko w naszych czasach moralisci walczyć  
musieli z fatalnym prądem, który nad wszystko pod-  
nosi, żądę zbogacenia się. W szkole uylitarnej  
nie ma zatem nowego, krom tego brzydkiego wy-  
razu *pozytywiem*, co stał się hasłem dla mnóstwa lu-  
dzi którzy mało sobie ważąc cnotę i naukę, ku temu  
zwracają się co zysk przynosi, tego tylko szacun-  
kiem darzą kto majątki posiada, i z głęboką wzgar-  
dą odwracają się od niego, gdy mu nic nie pozo-  
stało.

W rodzinach gdzie górują takie zasady, dzieci  
muszą mieć konieczne ciasne pojęcia; żywotne soki  
szlachetnych uczuć rychło w ich duszach wyschnie,  
samolubstwo i osobistość rozsiada się wszechwład-  
nie. Gdy dojdą do lat młodości, już wszelkie  
w nich widnieją ambicji żądze, wszystkie przywary  
sknerstwa. W wieku zaś dojrzałym pomnożą liczbę  
zagorzałych spekulantów, co puściwszy się na mo-  
rze giełdowych obrotów, zdumiewają na chwilę sza-  
lonym zbytkiem. Końcem widowiska takiego nie  
rzadko bywa straszny upadek.

Inaczej rzeczy stoją w rodzinie gdzie kwestja pie-  
niężna polega przedewszystkiem na kwestji ładu i do-  
brego prowadzenia, gdzie praca uszanowana, gdzie  
w zasadzie wychowania za cel postawiono nie tyle  
jakby dojść do posiadania majątku, a raczej jak nau-  
czyć się spożytkować go na dobre, a w razie potrzeby  
umieć się bez niego obejść.

Nie powinno się jednak wpaść w drugą ostatecz-  
ność i nie chciał uznać wartości pieniędzy i pożytku  
bogactwa, dla tej przyczyny że wielu ich nadużywa,  
a zwłaszcza dla tego, że majątek nie jest najgłośniej-  
szym szczęścia żywiołem. Pieniądz zarówno jak wszy-  
stko co w świecie ważną rolę odgrywa, jak wiedza,  
jak swoboda, ma w sobie tyle tylko wartości o ile u-  
miemy z niego dobry czynić użytek. Radzi słuchaj-  
my upomnień filozofii o pogardzie bogactw, o szczę-  
ściu w mierności, o moralnej wielkości duszy wyzwo-  
loniej od wymagań życia, podziwiamy owe maxymy  
stoicyzmu, nieco podejrzanę pod piórem Seneki bo-  
gatego zbytkownisza, który drugim kazania praw-  
o roskoszach ubóstwa, lecz nie podziwiamy zdania  
szalonego mędrca, który czując się niewolnikiem pie-  
niędzy, rzucił wszystko w morze, ażeby mógł zawołać:  
czuję że jestem!”

Spółczeństwo inne zakreśla powinności, inne pra-  
wa nakazuje. Gdy mi przyjdzie z kolei mówić o u-  
żytku, jaki zacna matka rodziny robić może z mająt-  
ku utrzymanego roztropnym zarządem, mam nadzie-  
ję iż zdolać wykażać jak potężną dźwignią może się  
stać pieniądz, jak wielkim szczęściem narzędziem, z  
tem wszakże zastrzeżeniem, iż prawdziwie bogatym  
nie ten jest co posiada majątek, ale ten co umie po-  
siadanem mieniem roztropnie rozporządzać.

Liczba rodzin zmuszonych dorabiać się mienia, bez  
porównania jest większą od tych, co tylko zarządzać  
majątkiem odziedziczonym potrzebują. Praca, która  
jest prawem świata, jest dla pierwszych głównym  
warunkiem bytu. Niechaj się na to nie użalają: pra-  
ca zarówno potrzebna dla udoskonalenia duszy jak  
dla zdrowia ciała. Czy ona zależy na kształceniu u-  
mysłu, czy na ręcznem zatrudnieniu, w każdym ra-  
zie przynosi dobro i umoralnienie. Młodość bezczyn-  
na gotuje sobie smutną przyszłość. Nie zazdrośmy  
losu owym uprzywilejowanym od fortuny, którzy na  
świat przychodząc znaleźli na nim oczekujące ich  
dostatki i przepych, raczej litujmy się nad nimi je-  
żeli uroili sobie, że posiadanie wyjątkowego przywile-  
ju nadaje im prawo do bezczynności. Zawsza uczu-  
ją się przesyleni i uniechęceni do wszystkiego, a w  
nieświadomości uciech jakie przynosi nauka, obcy  
większym jeszcze roskoszom, jakie znajdujemy w czyn-  
nej miłości bliźniego, stają się pastwą nudów niepo-  
konanych, jak to nazywają u Anglików *spleenu* i ży-  
cie samo będzie im nieznośnym ciężarem.

Praca to nie tylko dawca mienia, lecz życia zacho-  
wacza potęgę. Ciało nasze psuje się próżniactwem  
powiada pewien filozof starożytności, dla duszy tak  
samo jak dla ciała próżniactwo jest równie złem  
szkodliwym.

Cóż dziwnego że naród, w pośród którego praca  
działała cuda, dostarcza maxym najnamydlęjszych  
i najpraktyczniejszych dla ekonomji domowej, która  
nie jest czem innem jak umiejętnością, dobrego spo-  
żytkowania owoców pracy. Jeden z najznakomit-  
szych obywateli Stanów Zjednoczonych Ameryki,  
Benjamin Franklin, najdobitniej i najżywoćniej wyra-  
ził axiomata służące za podstawę tej nauce, w zasto-  
sowaniach onej do potrzeb nowoczesnego społeczeń-  
stwa. Słusznie jest więc odwoływać się do jego  
zdań i zastawiać się powagą tak szanowną.

Według niego, celem pracy jest pozyskanie dobro-  
bytu i niezawisłości, nieodzownych warunków postę-  
pu. Przychodzi on do mienia pracą, porządkiem  
i oszczędnością. Nabytego w ten sposób majątku u-  
żywa na udoskonalenie siebie i podźwignienie współ-  
braci. Gdy był ubogim robotnikiem, pierwsze zaso-  
by oszczędzone kosztem własnych wygod, posłużyły  
mu do założenia najpierwszej biblioteki ludowej. Je-  
mu to zawdzięcza Filadelfia swoje najpierwsze Towar-  
zystwo naukowe, swoje pierwsze kolegium, swój  
najpierwszy szpital. W siedemdziesiątym roku życia,  
wsiadając na okręt odpływający do Francji w celu  
wyjednania potrzebnej w owym czasie pomocy dla  
Ameryki, Franklin zgromadził całą swoją gotówkę  
i około stu tysięcy franków zostawił do rozporządze-  
nia kongresowi. Dla niego majątek był środkiem  
do działania, wiedział on jasno, że kapitał to wielki  
czynnik w nowoczesnej cywilizacji, pragnął go nabyć  
w celu posługiwania się nim na korzyść własną i dru-  
gich, ubiegał się o bogactwo, ale nie przez miłość  
dla pieniędzy, tylko jako środek użytecznego dla kra-  
ju działania.

Za jego przykładem warto jest nastawać na wiel-  
ką wagę pracy, a zwłaszcza pracy produkcyjnej.  
Franklin wysoko ceniąc pracę i pracujących, przy  
każdej sposobności przypominał zbogaczonym współ-



rodakom iż nie ma zaszczytniejszego tytułu nad miano robotnika. Kupcy Filadelfii zapowiedzieli bal składkowy, z którego chciano wyłaczyć robotników żony ich i córki. „Wielkie to szczęście, rzekł im Franklin, że tu nie przybędzie Wszechmocny, nie byłby z pewnością przyjętym, bo to największy Robotnik w wszechświecie.“ Skutkiem tej dowcipnej uwagi przyjęto wszystkich, a wyrażenie to poszło w przysłowie u Amerykanów, że „Bóg jest najpierwszy robotnik w wszechświecie.“ Szanują też oni i podziwiają rozmaitość, doskonałość i pożyteczność dzieł jego, cenią rolnika i robotnika, i radzi przytaczają uwagę pewnego murzyna który powiedział: „Człowiek biały każe pracować czarnemu, do pracy nagli konia, wołu, wszystko z wyjątkiem świni. Świnia nie pracuje, je, pije, przechadza się, śpi, żyje jak pan próżniacz.“

Praca usilna, praca rozumna jest stanowczo rzeczywistym środkiem zubożenia się. Oż myśleć patrząc na ludzi którzy przy swoim uzdolnieniu i zasobach, mogliby pracując pomnożyć swoje mienie, a przez uporczywe próżnowanie marnują swoje zdolności.

Żeby mieć co oszczędzać potrzeba wprzód nabyć. Kto spożytkował swój czas na uczenie się, rozwinał swój umysł, ten powinien następnie zbadać swoje zdolności, usposobienie i gusta.

Widzieliśmy już że wychowanie wyższe prowadzi do wiadomości ogólnych, do nauk poważnych które kształcą rozum, zatrudniają wyobraźnię i wyrabiają sąd. Podniosłość myśli, wynik ukształconego rozumu, zbawia od próżniactwa, rozwija siłę moralną, a zwłaszcza odręca ducha osobistości, który tworzy samolubów.

W takich warunkach wychowana młoda osoba poczuje własną wartość: nie roztrwoni bezkorzystnie kapitału wiedzy, nabytego z pierwszych lat młodości. Zostawszy kobietą, znajdzie w sobie działalność konieczną do podołania obowiązkom domowym, wychowaniu dzieci i niesieniu pomocy mężowi. Wiedza to także pieniądź. Z wprawami i czynnymi palcami i umysłem, prędko rozpoznaje w czym leży pożytek, i w taki sposób zużytkuje swoje umiejętności, które uzna za najkorzystniejsze.

Ważną jednak jest rzeczą rozważyć czy zabiegłość zależy na przyłożeniu ręki do gospodarstwa i igły, lub na dobraniu służących zdolnych do wyręczenia.

Zarobek i oszczędność, to dwojaki dochód, potrzeba dojrzałej rozważności na rozpoznanie co przyniesie większy zysk, gdzie nie należy dwóch groszy wydawać zamiast jednego.

Rozmowy Sokratesa tak mi się wydają zdrowe i praktyczne, że jeszcze jeden z nich ustęp przytoczę.

Tu już nie odwołuje się on do gospodarnego Iromacha, lecz do bogacza Krytobula, który zawsze wyzwał że mu nie wystarcza jego majątek, i zdaje mu się że żyć niepodobna temu kto nie może wydawać ile tylko zechce. Zwykłą sobie metodą Sokrates pytania doprowadza go do wynalezienia prawdy.

— Cóż na to powiesz, mówi mu, jeżeli ci pokażę najprzód ludzi, którzy z wielkim kosztem wystawiają domy niewygodne, a drudzy daleko taniej zbudują sobie mieszkanie gdzie jest wszystko co im potrzeba. Czy ci się to nie wyda nauką ekonomii.

— Niezawodnie.

— A gdy ci pokażę w dalszym tego następstwie, takich co posiadają mnóstwo naczyń i narzędzi wszelkiego rodzaju, a nie mogą ich użyć w potrzebie, nie wiedząc czy one są w dobrym stanie, i trapią się przez to sami i udęrczą swoich służących; i znów drugich co nie więcej mają tych przedmiotów, albo nawet mniej niż pierwsi, i zawsze znajdują je pod ręką, gdy chcą się niemi posłużyć?

— To może być ta przyczyna że w pierwszych wszystko porzucone w nieładzie, a w drugich każda rzecz na miejscu.

— Właśnie że tak jest, i to jeszcze nie na pierwszym lepszym miejscu, lecz we właściwym i wyznaczonym dla każdej rzeczy.

— To co mówisz wydaje mi się jakby nauką ekonomiczną.

— A jak ci pokażę tu służących źle utrzymanych i źle traktowanych, którzy uciekają od roboty, tam swobodnych i zadowolonych, którzy obojętnie pracują, może ci się to także wyda ciekawym ekonomicznym faktem.

— Zapewne.

— A gdy ci wskażę rolników uprawiających ziemię na tenże sam sposób, lecz z których jedni utrzymują że ich rolnictwo zniszczyło i nie mają za co żyć a tymczasem drudzy zawdzięczają mu dobrobyt i obfitość dostateczną?

— To już chyba pomyślę, odpowie Krytobul, iż po za obrębem niezbędnych wydatków, pierwsi nadmiar i potrzebę wydają, a może też i tak bywa że mąż dobrze zarządza, ale żona niedorzecznie postępuje, i może na nią cały zarzut spada.

— Lecz jeżeli mąż nie objaśnia ją w dobrem, i jeżeli przy takiej nieświadomości jej pomocy używa, czyż wtenczas nie na męża spada cała odpowiedzialność? Słuchaj Krytobulu, jesteśmy przyjaciółmi, mówmy szczerze. Czy jest ktoś co by więcej brał udziału w twoich sprawach domowych, jak twoja żona?

— „Nikt.“

— „A czy jest kto z kimbyś mniej niż z nią o nich mówił?”

— „I to nie.“

— „Kiedy ją poślubiłeś, wszakże to było prawdziwe dziecko, nieświadome wszystkiego?”

— „W istocie taką była.“

— A więc byłoby to jeszcze dziwniejszem, gdyby dziś wiedziała wszystko co trzeba mówić i robić, niż gdyby niedorzecznie postępowała. Ci mężowie co mają dobre żony, sami je wychowali i nauczili.“

Zaiste, dobra gospodyni domu jest najzupełniejszą współniczką męża w interesie wspólnego dobra. Najczęściej mąż swoim zajęciem wprowadza pieniądze do domu, prawie zawsze żona rozporządza wydatkami. Gdy dochód dobrze jest zużytkowany, pomysłnie dom stoi, zły użytek dochodu sprowadza upadek domu.

Cała wartość pieniędzy mieści się w ich użyciu. Zatem wcześniej należy uczyć się ekonomii domowej.

Sokrates nam ukazuje niedbałego Krytobula żalącego się na niedoskonałości żony, dobrze spostrzega co jej brakuje a nie zadał sobie pracy wskazać jej właściwych obowiązków i dziwi się że ona o nich pojęcia nie ma. To też filozof prowadzi go do Iromacha, który tak mądrych małżeńskich rad udziela.

Raz jeszcze powiedzmy że dziś już mężów zadanie, owo drugie wychowanie kobiety: jest ono już skończonem w chwili zamężcia. Obydwa te wstępy wychowania są działem matek i nauczycielek.

Fenelon powiedział: Przyzwyczajaj można tak do oszczędności jak do marnotrawstwa. Niech matki i nauczycielki zwracają uwagę wychowanek na błędnych gospodyń, co to szczytą się oszczędnością na drobniactwach, a dają się zawiadowcom domu oszukiwać na całej fortunie.

W innym miejscu dodaje. Powinna się kobieta od dzieciństwa wdrażać do prowadzenia rachunków, do przypatrzenia się jak się co kupuje, do poznawania w jaki sposób, każda rzecz ma być zrobiona, aby dobry był z niej użytek.

Pierwszą zasadą dobrze zrozumianej ekonomii domowej jest porządek i ład, nie już tylko ten porządek co każdy przedmiot na swoje miejsce układa, lecz zastosowany w urzędzeniu i w umiarkowaniu liczby potrzebnych przedmiotów.

W rodzinach dobrze i rozumnie urządzonych córka zanim pójdzie na swoje gospodarstwo, wtajemniczona bywa przez matkę nie tylko w ogólne koszty jakie utrzymanie domu pociąga za sobą, ale i we wszelkiego rodzaju konieczne wydatki po szczególe.

Nie potrzeba zbyt wysokiej arytmetyki na zsumowanie przychodów i odtrącenie z tej sumy rozchodu. Przydatną tu nie mało znajomość buchalterji i rachunkowości. Lecz rzeczywistą umiejętność w tym względzie nada przedewszystkiem praktyka, uważne przypatrzenie się czynnościom rodziców.

Może kiedyś tak wypaść, iż czy to z woli męża, czy jako wdowie, dostanie się jej w ręce zarząd całym mieniem: a może tylko jakąś częścią będzie zawiadywać, większą lub mniejszą w miarę stanowiska społecznego w jakim się znajduje.

W takim małżeństwie gdzie jest majątkowa wspólność, gdzie mąż i żona wydają oboje na potrzeby własne i rodziny, koniecznem jest aby sobie wzajemnie zdawali rachunek z wszelkiego przychodu i rozchodu.

Zespolenie takie rzeczywiście najlepsze, dowodzące zupełnej zgodności w pożyciu małżonków, nie zawsze jest wszakże możebnem. Niepodobnem jest wtenczas gdy mąż prowadzi wielki handel, kiedy ma jakąś wspólną lub innego rodzaju przedsięwzięcie. W takim razie może wyznaczyć na utrzymanie domu i na osobiste potrzeby żony stałą kwotę, z której ona powinna się wyrachować. Ze swjej strony mąż dobrze zrobi gdy bilans swoich rozchodów i zysków najdokładniej da poznać żonie, której rady niejednokrotnie wielką mu będą pomocą.

(d. c. n.)

## Agencja główna w Galicji.

Ma zaszczyt zawiadomić prenumerujących za jej pośrednictwem Tygodnika Mód i Przyjaciela Dzieci, iż jak najpункtualniej zaraz w dniu otrzymania transportu z Warszawy, pisma te rozsyła w opakach krzyżowych pod wskazanymi sobie adresami. Zwłoka zatem w odbieraniu lub niedochodzenie zupełne niektórych numerów, nie pochodzi z winy agencji, ale urzędów pocztowych, do których w każdej podobnej kwestji raczą się Szanowni Prenumeratorowie zgłaszać. Zawiadamiamy przytem: W. W. A. Dunin Borkowską — M. Wejheringową — M. Nanowską — Ju. Romanowską — M. Abaffy — A. Czerkowskiego iż nie odebrane numera, dodatki i ryciny powtórnie wysłane zostały.

## PRZYJACIEL DZIECI

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE.

Wychodzi w zniżonej niezmiernie cenie, bo prenumerata kwartalnie wynosi.

w Warszawie. . . . . rs: — kop: 75

w Cesarstwie, i królestwie z opłatą

pocztową. . . . . 1

Do formatu arkuszowego co drugi numer dołączony jest pół arkusz ilustrowany, przeznaczony dla małych dzieci. Z początkiem drugiego kwartału r. b. **w oddzielnym dodatku** rozpoczęty zostanie druk powieści dwutomowej p. t. *Wpływ życia rodzinnego* napisanej po angielsku, a spolszczonej przez panią Joannę Belejowską. W dodatku zaś dla mniejszych dzieci, zostanie pomieszczoną pierwsza podróż Krzysztofa Kolumba, z ilustracją zupełnie nowo przygotowaną.

Niezależnie od tego, wprowadzony zostanie nowy dział pod ogólnym tytułem *Gry i zabawy naukowe*, z fizyki, chemji, historii naturalnej, ogrodnictwa, z rzemiosł, robót dla dziewczynek ze stosownymi rysunkami objaśniającymi. Prowadzenie tego działu podjął się p. Adam Wiślicki właściciel Zakładu Gimnastyki i zabaw dla dzieci i młodzieży w Warszawie istniejącego.

Nadmieniamy przytem, że z kwartału pierwszego już szerepu liczba egzemplarzy pozostała, i że w kwartale drugim r. b. w numerze 13 rozpoczynającym go, wszystkie artykuły na nowo zaczęte zostaną, aby trzy pozostałe kwartały utworzyły całość.

Pieniądze prosimy przysyłać wprost do Redakcji, pod adresem jak dla Tygodnika Mód.

## KORESPONDENCJA.

Panu Franciszkowi Z. Listy z Krakowa Kremera kosztują rs 5 kop. 40. Podróż do Włoch rs: 15 na welonie, na papierze zwykłym rs: 13 kop: 50; opłata pocztowa książek rs 1.

Pani Annie M. Deseñ do haftowania ornatu z kolorową girlandą kosztuje rs. 2.

Pani Marji z B. Czer. Żądane desenie przesłamy. Na obuwie konieczne potrzebną jest miara; cena kamasy wynosi od 4 rs: kop: 50 do rs: 6; butów całkowitych od 5 do 7 rs.



## PAMIĘTNIK WACŁAWY

ZE WSPOMNIENIEMŁODEJ PANNY

ułożony przez

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg.)

Matka moja pierwsza podniosła twarz po której dwie grube łzy spływały:

— Ciotko, wyrzekła zniżonym głosem, smutne mową swoją wywołała we mnie wspomnienia. Mówiłaś o siostrze swój, która była matką moją. Czy pamiętasz dobrze jej dnie ostatnie? Ja je pamiętam lubo dziecięcemi patrzyłam na nie oczami. W mrocznym pokoju leżała blada, piękna z rozpuszczonym czarnym warkoczem; lekarze odchodzili od niej ze spuszczonei złowroźnie głowami, a ja siedziałam u stóp jej ukryta w fałdach jej białej sukni, przez nikogo nie dostrzegana.

Przyszła do niej ciotko a ona ci rzekła: „Hortensjo! nigdy nie byłam szczęśliwa! Poświęciłaś mię zasadam twoim: umieram z tęsknoty za tem coś mi wydarła!” Przypomnij sobie ciotko tę chwilę, ja ją pamiętam a i ty pamiętać ją musisz, boś zapłakała wtedy, a lża to tak rzadki gość w twem oku. że pamiętną ci musiała zostać na zawsze. Sądę, że gdy przebaczyłaś mi potem, to co występkiem moim być mienisz, czyniłaś to w imię tej łzy, którą uroniłaś nad konającą siostrą. Umarła biedna moja Matka, dusza jej może znalazła u Boga pocieszenie po ziemskich bólach, ale ja ciotko nie chcę aby moje dziecko leżało tak kiedyś konające młodo w mrocznym pokoju, z bladą twarzą i wyrazem goryczy na ustach... Nie chcę aby córka moja powiedziała mi kiedyś z wyrzutem: przez ciebie umieram matko! Nie chcę aby tak było, i dla tego ośmielę się sprzeciwić woli twój ciotko, i nie oddam ją człowiekowi z którym życie popłynęłoby jej łzami i smutkiem!....

Gdy matka moja to mówiła, powieki babki Hortensji znowu przysłoniły źrenice, a bruzdy na jej czole mnożyły się i krzyżowały jak pasma myśli tajemnych a ciężkich. Po chwili jednak podniosła wzrok, utkwiała w twarzy mojej matki z przeszywającym szyderstwem i wymówiła ze wzgardliwym uśmiechem:

— A więc dla czegoś Matyldo, sama tak szczęśliwą nie jesteś, jakby tego spodziewać się należało po tej bezpamiętniej, pastersko-rycerskiej miłości z jaką zawierałaś małżeństwo?

— Tak, odpowiedziała moja matka ze łzami w głosie, może w krew moją przelała się tęsknota za miłością prawdziwą na jaką umarła matka moja... kochałam człowieka którego byłam żoną, ale nie pojęłam go.... na zawadzie szczęściu naszemu stało wychowanie moje, które od ciebie ciotko otrzymałam. Gardziłam jego pracą.... mąciłam mu życie wrzawą i niepokojem.... a jednak kochałam go... i kto wie? tu przycisnęła rękę do serca i dodała ciśzej, kto wie? może i teraz jeszcze go kocham?

Blade babki policzki zafarbowwały się znowu różowymi plamami; oczy jej zapalały. Wyciągnęła jak wprzód białą swój palec w stronę mej matki i wyrzekła twardo:

— A więc zabieraj swoją córkę i powracaj wraz z nią do swego małżonka, o którym z tak przykłądną prawdziwie wspominasz czułością. Z majątku bowiem twego, któryś zrujnowała, zabraknie ci pewnie wkrótce kawałka chleba, gdyż u mnie ten, kto sprzeciwia się mej woli nie znajdzie pomocnej ręki.

Matka moja zadrżała. Przede mną odkryła się przyczyna niezrozumiałej mi dotąd jej obawy. Babka na widok drżenia mej matki, z tryumfem głowę podniosła i zaczęła mówić stanowczym tonem:

— Słuchaj uważnie Matyldo, gdyż to co powiem będzie ostatecznem i nieodwołalnem mojem słowem. Jeżeli twoja córka zaślubi p. Agenora W. podejmuję się spłacić długi ciężące na twoich majątkach, a oprócz tego dam jej pół miliona złotych posagu, z których połowę oddam gotówką w dzień ślubu do rąk panu młodemu, a drugą połowę zapiszę jej w testamencie aby ją po mojej śmierci odebrała. Może nawet pomyśle o pozostawieniu jej całego Rodowa, a kapitały jakie posiadam, rozpiszę innym krewnym. W przeciwnym razie nie spodziewajcie się obie ode mnie najmniejszej pomocy; zimnym i niemym zostańę świadkiem twój ostatecznej ruiny, bez zmrużenia powieki patrzeć będę jak na publiczną sprzedaż wystawiają dziedzictwo twego ojca a nawet poproszę was, abyście raczyły nie obdarzać mnie więcej swą obecnością.

I znowu była długa chwila milczenia w czasie której, salon stawał się coraz bardziej ciemnym, a zegar brzęczał coraz posępniejszym tentnem. Matka moja blada i drżąca, oparła rękę o poręcz fotelu i przerwała milczenie:

— Straszne jest widmo nędzy, które widzę coraz większemi kroczące ku mnie krokami.... bolesnym mi gniew twój ciotko, gdyż bądź co bądź tyś siostra mej matki i przy tobie spędziłam dziecinne lata... ale ani dla uniknienia grożącej mi ruiny, ani dla przeblagania twego gniewu nie poświęcę mojej córki!.... Ona nie zginie, ma ojca, który w ostatniej toni mojej ucieczką jej będzie, a ja.... poniosę karę za błędy mego życia...

Nie wiem jeszcze sama co pocznę, gdy nadejdzie straszna katastrofa, ale wiem dobrze iż sumienie moje będzie wolnem od morderstwa nad własnem dopełnionego dzieckiem!..

Nie skończyła jeszcze gdy byłam już przy niej, obejmowałam ją ramionami i pocałunkami okrywałam ręce jej i kolana.

— Babciu! zawołałam zdjęta nieznana mi dotąd energją, dziękuję ci za dobrodziejstwa które mi chciałaś mnie osypać, ale nie przyjmę ich kosztem uczciwości i dobroci mojej... bo nieuczciwaby byłam gdybym przysięgła przed ołtarzem miłość, której w sercu nie czuję, a nie byłoby we mnie ani kropli dobroci, jeśli bym się nie zlitowała nad tą biedną Rozalją, której uczuć nie pojmuję wprawdzie, ale której bym zgubić nie chciała za żadne skarby świata... Nie Babciu ja i matka moja nie żądamy twych bogactw. Bóg dobry zlituje się nad nami i zginąć nam nie da, zginąć nam nie da ten także o którym ty Babciu z taką wyrażasz się wzgardą, a który jednak jest ojcem moim...

Babka Hortensja raz jeszcze wyciągnęła ku nam rękę grożącą i wyrzekła sucho:

— A więc zostańcie ofiarami głupoty i krnąbrności waszej, a gdy nędza w dom wasz wstąpi, spożywajcie miłosne nadzieje i odziewajcie się w pozory bohaterskie. Wolno wam już teraz choćby umrzeć

z głodu, ja od tej chwili nie już z wami nie mam wspólnego i nawet dla honoru familji nie pośpieszę wam nigdy z pomocą.

To rzekłszy wyszła z salonu sztywna i wyprostowana. Matka moja upadła na fotel i zakryła twarz rękami.

Wtedy spojrzalam na Rozalję. Stała nieruchoma i blada ze wzrokiem utkwionym we mnie, na długich jej rżesach wisiały dwie wielkie łzy, a błyszczały jak brylanty. Oczy nasze spotkały się. Nagle Rozalja przystąpiła do mnie gorączkowo pochwyciła moje ręce i do ust je poniosła. Krzyknęłam i chciałam wyrwać ręce z jej uścisku, ale rzuciła się przede mną na kolana z głośnym płaczem.

— Przebac! przebac Wacławo! wołała śród łkań spazmatycznych, tyś taka dobra, taka szlachetna! i matka twoja także, a ja cię tak obrażałam ciągle, tak nienawidziłam! Nie pojęłam cię, nie oceniłam, ale teraz rozumiem już ciebie aniele śliczny i czysty, kocham cię Wacławo, czy przebaczasz mi?....

Podniosłam ją i przycisnęłam do piersi.

— Czy przebaczasz mi? pytała z uniesieniem, czy zapomnisz moich win względem ciebie? Czy będziesz mogła mię kochać? Powiedz! co mam uczynić abyś mię kochać mogła?

— Róziu! szepnęłam jej do ucha prawie: bądź dobrą córką dla ojca twego, szukaj pociechy w tej uldze jaką przyniesiesz jego losowi, a kochać cię będę całym sercem. Teraz już nawet kocham cię boś taka nieszczęśliwa!

Wyprostowała się, otarła łzy i oczy podniosła w niebo widniejące za oknem.

— Wacławo, rzekła zcichła, zawsze myślałam, że ku grzesznikom i ku nieszczęśliwym prędzej czy później zstępują takie chwile lub istoty, co ich z ciemności wprowadzają w krainę światła z której byli wygnani. Wacławo! zdaje mi się, że ty to będziesz dla mnie taką opatrnościowo zbawczą istotą..

Pod ganek zajechał nasz powóz. Obejrzałam się, babki Ludgardy nie było w salonie. Poszłam do jej pokoju.

Siedziała na swem zwykłym miejscu naprzeciw okna z za którego widniał nieba kawałek, z rękami splecionemi na świętej księdze leżącej na kolanach i wzrokiem utkwionym w klatkę z kanarkami.

Kiedy przyklekłam przed nią, objęła moją głowę z miłością, uczyniła nademną błogosławiący znak krzyża i szepnęła.

— Biedne dziecię! i ze mną tak samo działo się co z tobą!

Nachyliła się, przytknęła usta do mego czoła i widziałam, że z oka jej zwolna spłynęła łza i spadła między moje włosy. W kilka chwil potem opuszczałam z matką dom, który tak gościnnie przyjmował nas niedawno, a teraz na zawsze może zamknął się przed nami. Gdy powóz toczył się ku bramie dziedzica, ostatnie spojrzenie rzuciłam na okna domu. W jednym z nich za przezroczystą szybą dojrzałam bladą twarz babki Ludgardy. Patrzyła na niebo, usta jej poruszały się zwolna jakby jeszcze mówiła: „postarzałam, życie przeżyłam sama jedna, nikt mię nigdy nie kochał..”



## XXXIX

I pamiętam, że była potem jesień długa, szara. Popielate chmury wisiały nisko pod białym sklepieniem, co rano mgły pod lasami stały niby rzędy przeczysztych opok, w ogrodzie zwiędłe liście lip i kasztanów uścięły w alejach żółte lub krwawe kobierce, a gdy wiatr silny dmuchał tumanem, rozlatywały się w powietrze, z szelestem wirowały w koło siebie kłębami, czepiały się gałęzi nagich, które je odtrącały i w końcu jakby zmęczone walką z żywiołem, który je porywał, opadały na ziemię.

Niekiedy z za białych obłoków widniało słońce, ale od północy lub zachodu zrywał się wichur i pędził przed sobą gromady chmur drobnych, niby stado czarnych ptaków, które rozpiętemi swemi skrzydłami zakrywały po chwili blado-żółtą kulę dzienną gwiazdy. Gdy zmrok wczesny zapadł, z pod wzgórz odezwały się przeciągłe tony trąbek pastuszych: kiedy niekiedy odpowiadał im z głębi lasu potężniejszy ryk myśliwskiego rogu, a potem zstępowała na świat noc głucha, ciemna, bez gwiazd ni księżycy, i szamocąc się z wichrami wygrywającami gammy dzikiej melodii zdawała się opowiadać o biednych wędrowcach co wśród nocy jesienną tułali się i bładzili podrogach tej ziemi.

Na mgliste dnie i przepaściste czarne noce patrzyłam przez okno mego pokoju; niekiedy konno wyjeżdżałam na pola, żegnałam jaskółki i żurawie, co stadami przeciągały pod niebem w dalekie ulatując kraje, albo powoli jechałam drożyną, wśród lasu i machinalnie wsłuchiwałam się w jednostajny a cichy tentent mego konia, stąpającego po zwilżonej ziemi. Nademną wiatr z szelestem biegł wśród gestwiny, i ze szczytów drzew kołyszących się zwolna strącał zwiędłe liście, które rzęsiwym deszczem osypywały mi głowę i suknię, a gdy który z nich w ręce ujęła, na każdym błyszczała kropla wilgoci niby mętna łza.

Mglisto i żałobnie było na świecie ale nie zimno. Ja przecież czułam w sobie chwilami chłód przenikający.

Zdawało mi się niekiedy, że w piersi mej wygasa część ognia który w niej płonął, a na jego miejscu leżała garść ostudzonego popiołu. Myślałam nieraz, że popiół ten przysięgał pewno mogiłę, w którą złożyłam ów kwiat tak wspaniały niedawno, a nad którą blada i zimna stanęła mara zwątpienia.... Pragnęłam wygnąć z siebie tę marę, bo zła to była towarzysza, ale odegnana rano, wracała wieczorem, a gdy głowa moja układała się do spoczynku i oczy pragnęły zamknąć się do snu, gospodarowała mi po mózgu, przemocą rozwierała powieki i szeptała do ucha pytania: i w coż mam wierzyć na świecie?

Tymczasem na wieść o odmowie jaką otrzymał odemnie p. Agenor, żądni bliższych objaśnień zaczęli zjeżdżać się do nas liczni goście. Na twarzach ich spostrzegałam zdziwienie, radość, ironję, pożałowanie, a nadewszystko ciekawość. Emilka przyjechała najpierwsza i ściskając mi rękę szepnęła:

— Dobrześ uczyniła, on nie wart był ciebie! Potem opowiedziała mi, że p. Agenor w parę dni po otrzymaniu od mojej matki odmownego listu opuścił okolicę, domysłano się że pojechał do stryjczanego swego brata, który mieszkał daleko a był bardzo bogatym, z prośbą o pomoc pieniężną, bo na wieść o niedosłach między nami małżeństwie, kredytory jak stado kruków opadli jego piękny pałacyk.

Helenka przy spotkaniu się ze mną zaśmiała się właściwym sobie śmiechem, który jak się ktoś wyraził „smutniejszy był od płaczu“ i zawołała do mnie:

— Rozpoczęłaś już tedy Wacławo pocieszając naszą wędrowną, ścigania ideałów i strącania ich z piedestałów. Winszuję ci i życzę szczęśliwej drogi! Co do mnie, odbyłam taką samą i dzięki Bogu znajduję się u jej końca!

Rzekłszy to zakaszała i poskarżyła się na ból głowy i piersi. Irenka przyjechała z rodzicami aby zaprosić nas na urzędowe i huczne zaręczyny swe z p. Protym. Ożywiona była i wesoła jak nigdy, ale pod koniec wizyty, gdy znalazłyśmy się obie na stronie wzięła mnie za rękę i rzekła:

— Mój Boże! Wacławo, dla czego odmówiłaś p. Agenorowi? Słyszałam że babka twoja miała ci uczynić ogromny zapis jeśli byś wyszła za niego, a teraz cofnęła swą obietnicę. Złeś uczyniła kochanko, wierz mi że w małżeństwie rachunkowa strona to grunt a miłość... jeśli jest, to tem lepiej, ale jeśli jej nie ma, to przyjaźń, szacunek wybornie ją zastąpią.

Spojrzałam jej w oczy i spytałam.

— Irenko, czy zawsze byłaś takiego zdania?

Zarumieniała się trochę i spuściła oczy. Po chwili milczenia odrzekła.

— Nie... kiedyś była w twoim wieku budowałam także w wyobraźni zamki z tęcz i kryształu, ale przekonałam się potem że były to zamki.... na lodzie....

— Runęły więc, a na ich miejscu zapragnęłaś czego?

— Kawałka chleba do śmierci, odpowiedziała Irenka i w oku jej wesołym przed chwilą zakręciła się łza.

Franuś coraz rzadziej bywał u nas. Raz, gdy mu to żartobliwie wymawiałam, przerwał mi żywo.

— Kuzynko! nie mów do mnie w ten sposób bo mi to wielką robi przykrość. Wiesz przecie o tem, że nie zależę od siebie i jestem zmuszony stosować się do woli, a nawet kaprysów babki Hortensji.

Słowa te żywo mi przypomniły pierwszą sympatję mego serca w samym zaraniu życia powziętą dla Franusia, i przyczyny które z kwiatka tej sympatii straciły listki jeden po drugim. Spojrzałam na niego ze smutkiem i rzekłam:

— Zdaje mi się kuzynku, że powinienbyś mieć więcej własnej woli, przecie jesteś dorosłym mężczyzną....

Uśmiechnął się z goryczą i wzruszył ramionami.

— Kochana kuzynko, odpowiedział, ani pojęcia mieć nie możesz, jakim jest położenie ubożego chłopca wychowanego przez bogatych krewnych i zostawającego u nich na łasce.

Przy ostatnim wyrazie, szkarłatny rumieniec pokrył mu twarz; jestem pewna, że i ja także zarumieniłam się musiałam. Milczeliśmy czas jakiś, a po mojej głowie różne przechodziły myśli.

— Kuzynku, rzekłam w końcu, dla czegoż nie starasz się odmienić położenia swego?

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem niemal i zapytał.

— A gdzież są środki po temu?

— A jakież na to potrzeba środków? odpowiedziałam pytaniem.

— Pieniądzy albo umiejętności pracowania, wyrzekł kuzyn a potem dodał: a ja ani jednego, ani drugiego nie posiadam.

— Zdaje mi się, zaczęłam po dość długim namyśle, że umiejętność pracowania zdobyć sobie może każdy kto tego chce...

Franuś smutnie pokiwał głową.

— O, jakże nie znasz świata i spraw jego kuzynko! zawołał, sądzisz, że każdy z nas młodych ludzi umiejących zręcznie bez zarzutu znaleźć się w salonie, tańczyć, grać a może i mówić obcemi językami, posiada już w ręku środki, które przy dobrej woli

mogą mu być i stanowisko niezależne zapewnić. Gdzie tam! Ręczę ci, że prawie wszyscy mężczyźni, których znasz i którzy napozór wyglądają i rozumni i energiczni, gdyby zostali nagle odarci z majątków jakie posiadają i pozostawieni samym sobie, poumieraliby z głodu albowy także żyli na łasce u kogo bogatego.

Mnie naprzykład wychowywała babka Hortensja, razem z jedną ze swych krewnych sierotą ale bogatą. Ja i mnie uczyły jedne guwernantki. Mieliśmy francuskę, niemiecką i angielską, to też i ja mówię nieźle po francuzku i niemiecku, a rozumiem język angielski. Zresztą dowiedziałam się jeszcze, jak się nazywają stolice wszystkich krajów tego świata, największe rzeki i góry w Europie, nauczono mnie tańczyć kontredansa i walca i wygrywać na fortepianie kilka dumeck i polek. Kiedy miałam lat 18, bogata kuzynka, która uczyła się razem ze mną a raczej z którą się ja uczyłam, umiała tyleż; skończyła więc edukację i ja ją z nią razem skończyłam. Kuzynkę porwano zaraz za męża bo miała posag i była jak się wyrażano dobrze wychowaną panną, a ja zostałam w Rodowie z tem niby, że będę pomagać w gospodarstwie ciotce Hortensji. Znasz kuzynko jej charakter, widziałas zresztą jak się ze mną obchodzi, możesz więc domyślić się jakim jest położenie moje w jej domu.

Gdy straciłam rodziców i byłam bardzo biednym sierotą, dla honoru familji, podjęła mnie jak pieska porzuconego na drodze, abym nie urósł na łotra lub żebraka, a tem nie przyniósł wstydu familji. Ale o potrzeby istotne serca i umysłu mego nigdy nie pytała, nigdy nie przyszło jej na myśl czem będę? a może nawet nie życzyła by sobie abym czem był. Bo być czemś na świecie, to znaczy pracować, a praca moja przyniosłaby ujmę honorowi familji, której jestem członkiem. Tak więc dano mi wychowanie kobiece i urobiono we mnie kobiecego charakter. Nie nie umiem gruntownie i nie mam dość siły, aby z próżnemi rękami i głową nieudolną pójść w świat, i torować sobie drogi, do których utworzenia żadnych nie posiadam narzędzi.... O, nieraz myślę że tysiąc razy byłbym szczęśliwszym, gdyby mnie zostawiono było w biedzie i opuszczeniu....Może nauczyłbym się ziemię orać albo rąbać drzewo po lasach; nie znałbym wprawdzie zbytków i tych szybko przemijających przyjemności, jakie daje pobyt w świecie w którym mnie wychowano, ale zato byłbym wolny i niezależny i nie czyniłbym sobie takich gorzkich wyrzutów, jakie teraz bezprzestannie mnie dręczą.

Pociągnął ręką po czoło i z głową opadłą na pierś mówił dalej:

— Bo i czemże dziś jestem? Pasożytem, próżniakiem, nędzną istotą, zmuszoną do wysługiwanie się za udzielony przytułek i kawałek chleba. Wzdrygam się na myśl, aby tak miało być zawsze, a nie widzę jakim sposobem mogłoby stać się inaczej. Opueścić dom ciotki? Tak, muszę to kiedyś uczynić, albowiem obrócić się na świecie? Co będę czynił dalej? Na jaką wyjdę drogę? Nie wiem, bo miękkim wychowaniem odebrano ręką moim siłę i hart, a w głowę nie włożono nic, co by mogło skutecznie tę siłę rąk zastąpić. Czy pamiętasz kuzynko, jak kiedy to pierwszy raz widziałem cię w domu twój matki mówiłaś mi, że nie lubisz niewoli a ja ci odpowiedziałem wtedy, że na świecie często się spotkasz z niewolą.... mówiłem o tem z doświadczenia....

Umilkł kuzyn i czoło na dłoń pochylił, a ja długo mu nie odpowiadałam. Zapadłam w długą a smutną zadumę, przed oczami memi stanął pan Agenor i przypomniłam sobie słowa z listu jego do Rozalji: „Stańmy przed społecznością i zapytajmy ją, dla czego tak strasznie okaleczyła swe dzieci?” O tak, myślałam jakże okaleczeni, jak nieszczęśliwi są ci ludzie, te biedne dzieci świata tak pięknego i szczęśli-



wego napozór!... Oto jednego z nich podjęła biednym sierotą, ciotka bogata, „jak pieska upuszczonego na drodze” i dla *honoru familji* nie pozwoliła z głodu umrzeć jego ciało, a ducha o głód przypawiła wieczny. Okryła go cienkiem odzieniem, wychowała na woskowych posadzkach swoich salonów, ręce jego uczyniła białymi, nauczyła go połysków pozornego światła, a sercu jego nie dała hartu, a w głowę jego nie wlała myśli kierowniczej dla życia i uczyniła zeń pieska pokornego ku podejmowaniu kłębusek upadłych, z duszą skomlącą w głębi i dopominającą się o swe nieśmiertelne człowiecze prawa!... A tam oto drugi człowiek piękny, z przyrodzonymi zdolnościami umysłu, z bogactwem odziedziczonym po przodkach, wywozi te bogactwa za góry i morza, rozsiewa je po drogach tak lekkomyślnie jak małe dziewczę kwiaty z fartuszką, a potem wraca zrujnowany w rodzinne progi i ginie marnie z gangreną w sercu a goryczą na ustach! Czy oba ci ludzie urodzili się na to aby tak smutne wiedli istnienie? Czy Bóg sprawiedliwy oblekając w ciała duchy nieśmiertelne, i posyłając je na ziemię aby tam posłannictwo swoje pełnili, z góry mówi do jednych: wy zacnymi i prawymi synami ziemi będziecie! a drugim rozkazuje: pójdziecie tam na to, aby po drogach waszych za wami i przed wami stały się cienie posępne, abyście temi cieniami zarażali napotykanymi braci waszych i sami przyodziani w nie, kroczyli ze spuszczonei czołami jak potępione duchy na manowcach albo jak pasożyty wyrastające ze zgnilizny, wiedli i marnieli wprzód nim wydacie kwiat albo owoc! Czy może być aby Bóg sprawiedliwy, tak strasznymi wyroki naprzód już oddawał potępieniu dzieci swe, które sam obdarza istnieniem? Nie, tak być nie może! myślałam, tu, tu, gdzieś na świecie musi być kędyś atmosfera zepsuta co zaraża duchy ludzkie i odbiera im boskie znamiona, gruntu jakiś jałowy lub zatruty na którym zamiast mocy wzrasta słabość, zamiast prawdy zwodny pozór, w miejsce nasienia cnoty, występkę pierwiastki. Ale gdzie jest to miejsce, ten gruntu, ta atmosfera dla dusz szkodliwa? Mój Boże! nie wiedziałam. I daremnie pracowałam nad tem młoda niedoświadczona moja głowa, nie mogła dać żadnej odpowiedzi niepokojnym pytaniom które w niej wrzały. Wiedziałam skutki, ale dojrzeć nie mogłam przyczyn. Kryły się one jeszcze przede mną za tajemniczą oponą, jaką w dalszym życiu dopiero podnieść miała, twarzą ale pouczającą dłoń doświadczenia.

Spojrzałam z uwagą na kuzyna i spostrzegłam, że gładkie i kształtne zarysowane jego czoło, oblało się ciemnym kołatytem myśli ciężkich: na ustach świeżych i rumianych drgały przepowiednie gorzkich a szyderskich uśmiechów, które z czasem wykrzywić je miały, żrenice jego traciły błękit niebios a zasławały się mętną szarą barwą, powstała tam może dla pokrycia łez boleści, czy przynębiającego zniechęcenia, czy jeszcze młodzieńczego ognia, który z piersi przemocą wyrwać się pragnął a nie widział przed sobą nic, coby ogarnąć mogły jego płomienie. Żal mię zdjął i litość. Położyłam dłoń na ręku Franusia i zapytałam:

— Kuzynku, czym jest to co wam tak wiele złego sprawia? Popatrzył na mnie długo z namysłem i odpowiedział:

— Zdaje mi się, iż największa liczba nas młodych mężczyzn, nie umie zdobyć sobie bytu o własnych siłach i ginie marnie w różny sposób przez to, iż od dzieciństwa wszystkie starania wychowujących osób zwrócone są na pokrywanie nas jak najwięcej błyszczącym pokostem, pod którym nie dopytać się potem ani gruntownej wiedzy, ani żadnych pojęć zasadniczych coby podstawą i kierunkiem życia być mogły.

— Ale dla czego tak jest? zawołałam niecierpliwie.

— Dla tego kuzynko, tłumaczył Franuś, że bogaci ludzie ufają we wszechmocną potęgę bogactw i myślą, że gdy je zostawia synom niczego oni już więcej potrzebować nie będą.

Pomyślałam że słowa te zupełnie tłumaczyły mi nieudolność i zepsucie serca p. Agenora, obok jego pięknych przyrodzonych przymiotów. Ale Franuś? Wszak on nie posiadał żadnego majątku?

— Kuzynku ożwałam się z pewną nieśmiałością, przecież babka Hortensja wychowując cię wiedziała dobrze, że nie jesteś bogaty?

Uśmiechnął się smutnie.

— To co innego, wymówił zwolna. Bogaci krewni dają wychowanie ubogim kuzynom nie dla ich dobra, ale dla honoru familji!

Jakże smutnem i dziwnem było to wszystko! Jakże inaczej wyobrażałam sobie młodych mężczyzn na pensji jeszcze, gdy dorastając z zachwytem czytałam powieści świat malujące i śniłam o bohaterach tych powieści, jako prawdziwych bohaterach ludzkości. Gdzież więc był ten hart, to męstwo, ta prawda niezłomna ta gotowość do poświęceń za wszystko co dobre i wielkie, jakie w wyobraźni młodzieńczej dziewczycy splatają tęczę cudowną otaczającą męczyznę ideał? Miałożby to wszystko być fikcją tylko gorącej fantazji, albo snem przyniesionym przez kobietę z lepszych światów, a którego urzeczywistnienia na tym świecie daremnie by szukać chciała? Ależ w takim razie wszystkie jej nadzieje byłyby urojeniem próżnem, a to bicie jej serca młode, gorące, dzwieniem skazanym na skon bez echa. Bo i jakże ukochać ciemność, gdy się słodko o światłości marzyło? Jakże tu pogodzić się z nędzą, gdy dusza wyroliła bogate pałace o ścianach djamentowych? Miałożby pragnienia młodej dziewczycy ulecieć od niej na zawsze w krainy nadpowietrznej poezji, a nigdy obok niej w ziemskich nie zjawić się kształtach? Smutno! Zakryłam oczy dłonią a mara zwątpienia błada, drżąca i zimna podniosła się w sercu mojem na świeżej pogrzebanego uczucia mogile i znowu szeptała do ucha przepeściste pytanie: i w coż mam wierzyć na świecie? Nagle, pod przymkniętymi memi powiekami niewyraźnemi zrazu zarysy, poczęła migotać twarz jakaś męzka nieznana i dobrze znana zarazem. Powoli uwydatniały się i uplastyczniały rysy tej twarzy; widziałam czoło wielkie, wypukłe, pod niem ściągłe oczy patrzące w przestrzeń z rozumnym spokojem, usta ozdobione łagodnym myślącym uśmiechem. Coraz wyraźniej, coraz światłej twarz ta rysowała się na tle ciemnem pod przymkniętymi powiekami memi. Wpatrzyłam się w nią i poznałam raz tylko w życiu widzianą twarz hr. Witolda.

Drżąca mara zwątpienia skryła się znowu w daleki zakąt serca i przycichła, ja myślałam ze zdziwieniem, dlaczego to nieznane oblicze wyrło się w mój pamięci tak dobitnie i głęboko? Dlaczego po raz już drugi stawało ono przedemną w chwili, gdy dusza moja najgoręcej szukała po świecie prawdy i spokoju? Czy w człowieku który je nosił leżało właśnie to, o czem śniła gorąca ma wyobraźnia, a duch mój kierowany tajemniczą sympatją poniewolnie dążył tam, gdzie mógł znaleźć przecztą i upragnioną światłość?...

Odetchnęłam pełną piersią. Na twarzy co się przede mną zjawiała, zobaczyłam wypisane słowa z listu mego ojca: po za granicami świata w jakim się znajdujesz jest świat inny, rozległy świat myśli, pracy, cnót rzadko rozsianych ale przyswiecających ludzkości jak szeroko rozpalone pochodnie... Tak, pomyślałam, oblicze to dla tego tak głęboko uwieźło w mój pamięci, że człowiek który je nosi niepodobny jest do wszystkich tych, których napotykałam dotąd i należy on zapewne do tego innego, dalekiego

świata, w którym cnoty jak pochodnie wśród nocy przyswiecają ziemi.... Lżej mi było na sercu, a w piersi przestałam poczuwać chłód sprawiony garścią ostudzonego popiołu jaka w niej była niedawno. Z zamyślenia obudził mię turkot kół na dziedzińcu. Spojrzałam w okno. Przed gankiem stał ładny kocyk, a z niego w popielatym ubraniu o poprzecznych pręgach wysiadał p. Henryk.

## XI.

Siedziałam przy krosienkach stojących pod oknem i wyszywałam zielony listek. Naprzeciw mnie siedzący p. Henryk, machinalnie trzymał pasmo włóczki w palcach, które rozwierały się i ścisnęły szybszym jeszcze niż zwykle ruchem. Matka moja rozmawiała z Franusiem na przeciwnym końcu salonu.

P. Henryk był dnia tego bardziej niż kiedy do ślimaka podobny. Ubranie jego szare w poprzeczne pręgi modne było i wytworne, ale zwiększało to podobieństwo w zadziwiający sposób. Okulary spoczywały na samym środku jego nosa, a z nad nich para blade żółtych oczów patrzyła mi w twarz nieustannie.

— Piękną mamą jesień, mówił młody sąsiad zwykłym sobie przewlekłym tonem.

— Niebardzo, odpowiedziałam nie podnosząc oczu od krosienek.

— Dla mnie jest ona bardzo piękna...

— Winszuję panu...

— A dla czegoż pani nie znajduje ją taką?

— Bo pochmurna i zimna.

— Ja też nie o atmosferze fizycznej mówiłem.

— A o jakiejże?

— O... o... atmosferze mego serca.

Podniosłam oczy i spojrzałam na Henryka o mało nie parsknęłam śmiechem. Pocieszenie wyglądał z wyrazem serca na ustach, a jeszcze pociesniej żółtawa i długa jego twarz przyoblekała się czemś co niby miało być do wzruszenia podobnem. Powstrzymałam się jednak od uśmiechu i zapytałam:

Jakiż więc stopień ciepła pokazuje termometr serca pana?

— Największy, jaki pokazywać może...

Coraz większą czułam ochotę do śmiechu, a tłumiąc je zapalczywie wyszywałam mój listek. Nie uważałam jednak za stosowne i grzeczne i pozwolić upaść rozmowie.

— I coż jest powodem tego przerażającego podniesienia się temperatury w sercu pana? spytałam.

— Pani — odpowiedział Henryk po chwili milczenia.

Tym razem pozwoliłam już sobie zaśmiać się ale tylko trochę.

— O, panie! zawołałam, sądzę że i beze mnie natura rozlała po świecie dosyć ciepłaka, abym niepotrzebowała zastępować jego miejsce.

Henryk milczał dość długo a potem wymówił.

— Ale ja panią kocham.

I znowu wyraz ten, ten wielki święty wyraz uderzył moje ucho. Ale tym razem nie dałam mu w odpowiedzi ani najłżejszego wzruszenia, ani najslabszego rumieńca. I owszem, wzmógł on we mnie ochotę do śmiechu lubo czułam, że gdybym śmiechowi temu puściła wodzę, miałby on przykre brzmienie. Dziwnie bo też zadźwięczało słowo: kocham! w bladych i wąskich ustach Henryka. Nie jedna już fałszywa jak niegdyś u Agenora dźwięczała w nim nuta. Wszystkie w nim nuty były fałszywe i gorzej jeszcze niż fałszywe bo słabe, blade, omdlałe, niby zkądś zapożyczone albo wpółumarłe w podróży. Nie było w nich ani isierki ognia, ani żdźbła tkiwo-



ści, ani promyka prawdy, wydały mi się podobnemi do skrzeczenia żaby na wybrzeżu błotnistej wody siedzącej.

Spojrzałam na Henryka. Dwie ceglaste plamy zafarbowały żółtawe jego policzki, w oczach które ciągle z nad okularów patrzyły na mnie, wity się węzowe przykre płomyki.

Nigdy Henryk nie wydał mi się tak brzydkim a wyraz jaki wypowiedział i to wzruszenie co się odbiło w jego fizjonomji, zamiast przyozdobić go rzuciło nań mocniejsze jeszcze podobieństwo do ślimaka, wylazłego ze swęj martwéj skorupy.

Spuściłam znowu wzrok na robotę i zajmując się dalej robotą wyrzekłam obojętnie:

— Sądziłam, że pan nie możesz czynić lub czuć cokolwiek bez celu.

— Jakto bez celu? zapytał rozwierając i ściskając palce z wielką szybkością, jakby ruchem tym usymbolizować chciał przede mną cel do którego dążył.

— Tak, rzekłam, bo jakimże dla pana byłby cel tego uczucia o jakim mi pan wspomniałeś?

— Celem tym jest prosić o rękę pani, zwolna odpowiedział Henryk.

— W takim razie cel to niedościgniony, odpowiedziałam siląc się na uśmiech, który już teraz nie chciał wystąpić mi na usta, ja panu ręki mojej nie oddam.

Henryk uczynił tak nagle poruszenie, że aż spojrzałam na niego zdziwiona, bo nie przypuszczałam aby był zdolnym do podobnych żywych ewolucji. Obrócił się do mnie z krzesłem tak, aby móżdż mi prosto w twarz patrzył i zapytał nagle:

— A to dla czego?

Wykrzyknik ten wypadł mu z ust z akcentem głębokiego zdziwienia, a zarazem także zdziwienie odbiło się na jego twarzy. Ja zdziwiona zostałam tem wielkiem zdziwieniem Henryka i parę sekund pytałam siebie w myśli, czemu by się też on tak dziwił? Nakoniec widząc, że oczy młodego sąsiada coraz głębiej grzęzną w mój twarz, a ceglaste plamy rozszerzają się na jego policzkach, zdobyłam się na odpowiedź.

— Dla tego, że nie mogłabym nigdy powiedzieć do pana tego słowa, któreś pan przed chwilą do mnie wymówił. Dobrą minutę trwało milczenie, w czasie którego ja wyszywałam na kanwie krzyżyki w lewo i prawo, aniołom stróżom zdając pieczę nad ich należyty kształtem i kierunkiem, a Henryk nie wiem już co robił, bo na niego nie patrzyłam tylko słyszałam moje, nieszczęsne pasemko włóczki rwące się w jego palcach, które rozstierały się i zaciskały z szybkością haków w misternie urządzonej maszynie.

Gdy nareszcie podniosłam oczy, zobaczyłam przed sobą Henryka zupełnie już spokojnego, ze zwykłą sobie żółtawą cerą twarzy z której zniknęły uprzednie plamy ceglaste, i z oczami patrzącemi na mnie z nad okularów bez odrobiny wzruszenia a z trochę tylko niby obrazy, albo czegoś bardzo do niej podobnego.

Po chwili zaczął mówić swoim przewlekłym głosem, w którym często odzywały się tony przypominające skrzeczenie żab nad stawem.

— Powiedziałaś więc pani, że nie możesz mi oddać swęj ręki dla tego, iż mię nie kochasz... tak przynajmniej zrozumiałem jęj słowa... Ja bym jednak sądził, że jedno drugiemu wcale nie przeszkadza... Uważałem i uważam panią zawsze jako kobietę mającą dość umysłowych zdolności, aby zrozumieć prawdziwą i gruntowną stronę życia, i dla tego nie tracę nadziei, że po namyśle raczysz pani odwołać swęj nieszczęśliwy dla mnie wyrok...

Nie pojęłam od razu słów tych w całej roziągłości ich znaczenia, niemniej poczułam, że bólaćco uderzyły one o jedną ze strun mego ducha. Struna ta była dumą kobiecą... uczułam się obrażona a ocho-

ta do śmiechu bardzo daleką już była ode mnie. Mimowolnym prawie ruchem wstałam od krosienek i rzekłam:

— Daremnie przedłużalibyśmy tę rozmowę, która ani mnie ani panu nie może być przyjemną. Wyroku mego nie cofnę i oprócz życzliwości sąsiedzkiej i mego towarzystwa ilekroć pan go zażądać zechcesz, nie więcej ofiarować mu nie mogę i nigdy nie będę mogła.

To rzekłszy wyszłam z salonu.

Przykre uczucie legło mi na sercu, mglisto było w myślach, spokojność moja odzyskana na chwilę, zachwiała się znowu, a w uchu skrzeczał mi ciągle wyraz kocham! wymawiany głosem Henryka. Doświadczałam takiego pocucia, jak gdyby przedemną odbywał się świętokradzki akt profanacji nad rzeczą najświętszą, jak gdyby ktoś w moich oczach rzucał kwiat przezemnie wypieszczony w mętną wodę.

Niegdyś w pierwszych dzieciństwa mego latach, stara piastunka lub piękna matka moja pochylały się nad wpółuśpioną moją głową, i na dobranoc wyraz ten wymawiały, a słodkie brzmienie jego przez noc już całą akordami pieśni Anielskiej, kołysało się w cieniach nade mną i sny moje niewinne unosiło w rajskie krainy... Potem kiedy jak motyl z gąsiennicy wychodzący, otrząsałam z siebie zwolna miękką powłokę dzieciństwa, a duch mój porastał w piórka różnobarwne, któremi naiwna, czysta dusza dziewczicy w krainy marzeń ulata, wyraz ten nieśmiałem echem zabrzmiał w mem sercu, jak przecucie czegoś co będzie w dalekiej przyszłości, albo przypomnienie dźwięku w zaziemskim kędyś zasłyszanego świece... I wymarzyłam sobie wyraz ten sama nie wiedząc i nie rozumiejąc dobrze o czem marzę, uwydlatniałam sobie brzmienie jego i nieraz dotykając palcami kilku razem klawiszów fortepjanu, myślałam że wyraz ten tak dźwięczyć powinien, jak pełny, zgodny, przeciągły akord muzyczny w którego początku leżała moc tajemnicza co gorącemi prądami do piersi mi wpływała, a którego koniec rozplywał się w powietrzu zwolna, tęskno, tkliwie, tak że ustawały prądy gorące a przychodziło po nich omdlenie słodkie podobne do tego, jakiego kwiaty doświadczać muszą wtedy, gdy po dziennym skwarze marzące swe głowy pochylają wieczorem na akasmitną, zwilżoną kroplami rosy murawę. Tak ja ten wielki wyraz: kocham! wysnułam, takim unosił się on nademną wśród snów dzieciństwa, takim rozbrzmiał mi w sercu, gdy męj z dzieciństwa budzić zaczynała. Myślałam że to było przecucie i że kiedyś spotkam na świecie człowieka, z którego ust wypłynie ten wyraz wielki jak pełny akord muzyczny, a ja mu takim samym odpowiem i tą melodią dwa nasze serca prowadzić będą rozmowę cudowną, długą jak nieskończoność.

I oto dwaj już ludzie na świecie wyraz ten wymówili do mnie, a żaden z nich nie wymówił go tak, jak brzmiał on w mojej duszy... Pierwszy w akordzie fałszywych tonów, drugi zamiast akordu dał mi posłyszec płaski i zimny skrzek żaby... Czyliż by myliło męj przecucie? Czy wielki ten wyraz żył kiedyś na świecie, a potem uleciał na zawsze do nieba a po nim została ziemi ta tylko pamiątka, iż ludzie w młodości słyszą echo jego w swych własnych sercach, gonią za dźwiękiem podobnym a niespotkawszy go, zniechęceni sami gubią to echo na drodze życia?

— Takimi zajęta myślami, patrząc przed siebie usiadłam w przytykającym do bawialnego salonu gabinecie na sofce, która naprzeciw drzwi stała. Z zamyslenia zbudził męj głos Henryka, zwróciłam wzrok na drzwi wpół przysłonięte firanką i zobaczyłam go zabierającego miejsce naprzeciw mojej matki. Oboje siedzieli zwrócenii do mnie profilem i nie patrzyli

w stronę w której byłam, ja zaś widziałam ich fizjonomje wybornie, a słowa rozmowy bardzo wyraźnie mnie dochodziły. Henryk mówił do mojej matki:

— Przed chwilą miałem honor prosić pannę Wacławę o jęj rękę i otrzymałem odmowę.

Wyrzekł te słowa z zwykłym sobie zimnym i przeciągłym tonem, w którym daremnie chciałby kto dosłyszec żywsze jakie wzruszenie gniewu czy żalu. Moja matka podniosła na niego spojrzenie i nie wiem czy się nie myliłam, ale wydało mi się, że trochę pobladła. Henryk mówił dalej:

— Mam nadzieję że pani nie weźmiesz mi za złe, iż nie poprzestając na tej odmownej odpowiedzi jęj córki, ośmielam się prosić ją o kilka chwil rozmowy w tej materji... Panna Wacława tak młoda... tak niedoświadczona, spogląda zapewne na tę kwestję z innego stanowiska jak ludzie, którzy mają nieco doświadczenia i wiedzą co to praktyczna strona życia... Czy pozwolisz mi pani mówić o tym przedmocie?

Matka moja w milczeniu skłoniła głowę na znak przyzwolenia. Na czole jęj zagłębiły się fałdy a wyraz jęj twarzy był nieco smutny i surowy zarazem, Henryk ciągnął swoją rzecz zawsze właściwym sobie wstrętnym tonem.

— Nie tajem pani było zapewne, bom wcale taieć się z tem nie myślał, iż panna Wacława podobała mi się wielce od pierwszego zaraz wejżenia. Ponieważ jednak nie jestem poetą ani marzycielem, ale prostym sobie gospodarzem a z natury posiadam usposobienie racjonalne i spokojne, byłbym może nie uległ tej, jak się ludzie wyrażają skłonności serca, gdyby ona nie zgadzała się najzupełniej z moim rozumem i trzeźwym na rzeczy poglądem. Mam nadzieję, że gdy poglądem tym podzielę się z panią, zechcesz wpłynąć na córkę swą tak, iżby nie odrzucała przedstawienia które dla obu stron daje korzyści nie do pogardzenia.

Po ustach mojej matki przebiegł zaledwie dostrzegalny uśmiech ironji. Właściwym sobie dumem poruszeniem podniosła głowę i rzekła.

— Nie wiem o jakich korzyściach zamierzasz pan mówić, w każdym razie czuję się w obowiązku uprzedzić pana, że córce mojej zostawiłam zupełną swobodę wyboru i nie mogę w niczem krępować jęj woli.

Henryk opuścił szafirowe szkła swych okularów na sam środek nosa, co było u niego zawsze oznaką, że wydobywał się ze swęj wiecznej zimnoty, jak się wydobywa ślimak z martwéj skorupy, i z nad tych szkieł patrząc na moją matkę zaczął znowu:

Nie tajne mi były familijne układy, jakie istniały co do małżeństwa panny Wacławy i pana Agenora W. Nie tajno mi też (jak zresztą i cała okolica wie o tem) że układy te zostały zerwane, w skutek czego pani Hortensja wydziedzicza pannę Wacławę i pozbała ją hojnie przyobiecanych swych darów.

Matka moja uczyniła żywe poruszenie, ale Henryk nie zważając na to mówił dalej:

— Chcięj pani przebaczyć, że przypomniałem te przykre zajęcia, jakie miało miejsce w familji państwa i o jakim etykieta niepozwałałaby mnie człowiekowi obcemu, wspominać przed panią. Ale dla bardzo racjonalnych powodów odłożyłem na ten raz etykieta na stronę. Chcę pani bowiem oświadczyć, że niełaska pani Hortensji względem panny Wacławy, mnie wcale nie zraża do oświadczenia się o jęj rękę...

Jasny płomyk przemknął po twarzy mojej matki, czoło jęj rozmarzczyło się.

— Co pan chcesz przez to powiedzieć? zapytała głosem mnięj suchym niż ten, jakim przemawiała dotąd do Henryka.

— Nie powiem pani, ciągnął Henryk, że niełaska pani Hortensji względem panny Wacławy, nie zraża



mnie do oświadczenia się o jej rękę dla tego, że panna Wacława bardzo mi się podoba, bo chociaż to ostatecznie jest szczerą prawdą, widzę w tem tylko z sentymentu wypływającą pobudkę i jako taką nie chcę ją brać za podstawę rozmowy mojej z panią. Odkładając więc na stronę sentyment, albo dawszy mu miejsce takie, jakie na obrazach należą się figurom z drugiego planu, chcę zwrócić uwagę pani na to, że panna Wacława nawet pozbawiona darów swęj bogatej babki dla mnie jednego, dla mnie wyłącznie nie przestaje być partją pożądaną....

— Zapewne dla tego że pan jeden tylko, wyłącznie, potrafił ocenić piękne przymioty umysłu i serca mojej córki, przerwała moja matka z której twarzy znikł już bez śladu jasny promyczek ustąpiwszy miejsca wracającemu uśmiechowi ironji.

Henryk uczynił ruch podobny do ukłonu.

— To coś pani raczyła powiedzieć jest zupełną prawdą, ale wraz z sentymentem moim dla panny Wacławy, odstawiam i tę prawdę na drugi plan obrazu. Wyłączność zaś moja w tym razie leży w tem, że jestem najbliższym pani sąsiadem i że grunta moje graniczą z jej gruntami.

— Racz się pan jaśniej tłómaczyć, wyrzekła moja matka z bardzo już głębokimi na czole fałdami.

— Otóż jako tak blizki sąsiad, wysoką przywiązuję wagę do połączenia majątków moich z majątkami pani...

— Panie... przerwała moja matka.

— Pani, kończył Henryk, racz mię wysłuchać do końca i nie brać mi za złe, jeśli będę zupełnie otwartym... Majatki pani są odłożone moje zaś zupełnie czyste i znaczną dają intratę, przytem mam jeszcze gotówkę... Jeśli bym więc był dość szczęśliwy, aby otrzymać rękę panny Wacławy, oczyściłbym z długów dobrą panią a łącząc się ze swemi, utworzyłbym jedną z najobszerniejszych i najinratniejszych majątności w całej prowincji...

Z ust mojej matki wyszedł odgłos podobny do śmiechu połączonego ze łzami i łkania z którem spletał się śmiech. Twarz jej zrumieniła się i znowu nagle pobladła.

— Winszuję panu tak szeroko i gruntownie rozwiniętego praktycznego zmysłu, wyrzekła z widoczną ironją. Ale Henryk nie widział czy nie chciał widzieć gry fizjonomji mojej matki, albo może sądził, że dalszemi argumentami pokona jej widoczną niechęć, bo mówił dalej:

— Majatki pani położone są w dobrej glebie, ale mają za mało łąk i pastwisk; u mnie zaś przeciwnie znajduje się wiele siana ale nie dostaje pszennych gruntów. Pani dobra posiadają znaczne lasy, a przez moje przepływa spławna rzeka, gdyby więc lasy i woda były w jednym władaniu, możnaby założyć parę fabryk potrzebujących hydraulicznych środków i prowadzić handel drzewem na własną rękę. Do tego masz pani parę folwarków, w których gospodarstwo zostaje w opłakanym stanie. Ja z memi pieniędzmi zasobami mógłbym urządzić w nich płodozmian i trawy pastewne zasiewać, co dałoby możność znacznego powiększenia liczby inwentarza w obu majątnościach. Zdaje mi się nawet, że nasza okolica byłaby wyborynym punktem dla fabryki cukru; ja miałbym środki do jej założenia, ale nie mam gruntów na którychby się rodziły buraki, a właśnie pani takie grunta posiadasz. Słowem, majątki pani i moje połączone dałyby dochody kolosalnej wielkości...

Pan Henryk mówił z coraz większem ożywieniem, dwie ceglaste plamy wystąpiły mu znowu na policzki a palce jego rozwierzały się i ścisnęły z taką szybkością, jakby miały w przelocie chwycić owe pastwiska, łąki, fabryki i kolosalne dochody o któ-

rych mówił. Matka moja nie przerywała mu ani jednym słowem i nieruchomie siedziała ze spuszczo-nemi w dół powiekami. Tylko na ustach jej uśmiech ironiczny zamienił się na bolesny, a fałdy na czole coraz były głębsze. Henryk milcząc popatrzył kilka sekund na swoją matkę, zdawało mi się że po twarzy jego przebiegł wyraz tryumfu. Zsunął niżej jeszcze na nos swe okulary i kończył.

— Tak więc, chcieliby pani przyznać, że panna Wacława mimo niełaski swęj babki w jaką popadła dla mnie wyłącznie jest pożądaną partją. Kto inny w majątkach pani nie zobaczyłby nic oprócz długów które je obciążają, ja jako sąsiad i posiadacz środków pieniężnych, widzę w nich ogromne pole do wielce korzystnej produkcji. Tak więc obie strony odnoszą korzyści. Panna Wacława zostając moją żoną, zapewni sobie pozycję majątkową i społeczną odpowiednią urodzeniu swemu i przyzwyczajeniom, ja wejdę w posiadanie dóbr, na których oczyszczenie z długów i podniesienie gospodarskie znaczny wprowadzę wyłożę kapitał, ale które mi go z czasem z wysokim zwrócą procentem. Przytem panna Wacława znajdzie we mnie męża przywiązanego do niej, z całą solidarnością człowieka praktycznego i nieuganiającego się za żadnemi mrzonkami, w jakichkolwiek one przedstawiały się postaciach, a ja będę miał szczęście posiadać rękę osoby, której wdzięki i zalety odrazu zajęły moje serce.

Przy ostatnim frazesie zająknął się Henryk a wyraz serce, znowu płaskim i zimnym tonem wydobył się z ust jego.

Parę minut matka moja milczała. Wzrok jej zdawał się przykuty do posadzki, po twarzy migotały różne uczucia, dumy, żalu, gniewu, niepokoju i jakiejś tajemnej z samego dna jej istoty płynącej myśli, która ze wszystkimi uczuciami toczyła walkę. Podniosła w końcu powieki, a gdy spojrzenie jej upadło na twarz Henryka, w źrenicach zabłysnął blask gorączkowy, głowa podniosła się dumnie, wargi zadrżały i zdawało mi się, że wnet, wnet wymówią ostre jak sztylet słowo ironji i wzgardy. Ale nagle opadły znów w dół powieki, rumieniec zniknął pod bladością, usta zwarły się jak w dolegliwym cierpieniu, a na całą twarz straszna wybiła się walka.

Henryk milczał i z nad okularów patrzył na nią ciągle swemi zimnemi blado żółtymi oczami.

Wreszcie podniosła się moja matka, stanęła ręką o stół oparta i ze spuszczo-nemi powiekami wymówiła cichszym niż zwykle głosem.

— Jesteś pan szczery panie S., zanadto szczery... widać zaraz że nie odbyłeś pan kursów dyplomacji i że poezja nie jest pana specjalnością... Przedstawienie jednak pana, jakkolwiek dziwnie sformułowane, przełożę mojej córce a o wypadku rozmowy naszej zawiadomię pana....

Henryk powstał, skłonił się a wymówiwszy kilka bardzo grzecznych słów pożegnania, opuścił salon. Po chwili koczyc jego od którego koni nie odkładano, wytoczył się za bramę dziedzińca.

Spojrzałam przez drzwi na swoją matkę. Stała ciągle nieruchomie w tej samej postawie w jakiej opuścił ją Henryk, tylko głowa jej opadła na piersi a splecione ręce zwisły pomiędzy fałdy sukni. Podniosłam się i cichemi krokami zbliżyłam się do niej.

— Mamo, rzekłam stając przed nią, ja wszystko słyszałam.

Podniosła głowę jak ze snu zbudzona i mglistym wzrokiem spojrzała na mnie.

— Słyszałaś? powtórzyła i coś więc powiesz na to?

— Poproszę cię mamo droga, abyś natychmiast napisała do pana Henryka, że stanowczo odmawiam mu mojej ręki.

Oczy mojej matki spoczęły na mnie długiem spoj-

— Odmawiasz? wyrzekła zwolna i w zamyśleniu, tak i ja myślę że inaczej uczynić nie należy, a jednak....

Zawahała się a ja z przyspieszonym biciem serca, czekałam końca jej mowy.

— A jednak dodała po chwili z wysileniem, to dobra, świetna dla ciebie partja....

Zal mię zdjął wielki.

— Matko moja! zawołałam, i tyż to tak mówisz? ty, tak szlachetna sama, tak kochająca mię!

Osunęła się na kanapie i z za łez na mnie patrzyła.

— Tak, zawołała mówię to bo znam świat, bo wiem co znaczy w świecie pozycja majątkowa i towarzyska, bo nie mogę zarzucić fałszu słowom pana Henryka, że każdy oprócz niego w majątku moim zobaczy same długie, w tobie pannę ubogą, której matka ostatkami goni, a ojciec nie posiada także żadnego funduszu. A któż dziś żeni się z panną ubogą? Ach! dziecko moje, ten świat jest okrutny! Zmusza on nieraz serce macierzyńskie do strasznej walki, między godnością osobistą i własnymi pojęciami, a strasznem widmem wiecznego osamotnienia i ubóstwa dla istoty, której by niebo przychylić chciało....

Milczała chwilę, dwa strumienie łez popłynęły po jej twarzy.

— Nieraz mówiłaś dalej, oskarżając nas matki o wyrachowane poszukiwanie marjażów dla córek naszych. Lecz mój Boże, i cóż czynić mamy? Czyliż możemy odrazu pogodzić się z myślą, że ukochana przez nas istota pozostanie niepoznaną na zawsze, a gdy nas zabraknie stanie się pastwą ubóstwa i gorzej jeszcze nadeń śmieszności, jaką świat przywiązuje do miana stariej panny. Dziewczęta w inną żyjącę sferze, mają prawo nie posiadać, a zawsze znajdzie się ktoś, kto także nie posiadając nie prócz pracy swej i odwagi, poda im rękę miłości i wsparcia. Ale panna urodzona w naszym świecie a jakimkolwiek okolicznościami odarta z majątku, niech nie spodziewa się aby ktokolwiek jej równy pojął ją za żonę.... Pan Henryk chce się z tobą ożenić dla tego, że grunta jego przytykają do naszych i że, z połączenia jednych i drugich obiecuje sobie wielkie korzyści.... kto inny korzyści tych widzieć nie będzie i minie cię jak się mija przedmiot piękny, ale nieużyteczny.

I nie znajdziesz w świecie naszym męża dla siebie, a zatem i odpowiedniej sobie pozycji....

— A więc, zawołałam z boleścią, mamże dla tej pozycji wyrzec się wszystkich marzeń moich, zadać fałsz wszystkim moim przeczuciom, zostać żoną człowieka który mię bierze na to tylko, abym pomiędzy dwoma majątnościami rozkopała kopce graniczne? Nie, moja matko! nie wiem jeszcze dobrze jakie znaczenie w świecie posiada owa pozycja o której tyle słyszę, ale wiem, że jakimkolwiek by ono było, nie rzeknę się dlań tego ideału który w mojej duszy zamieszkał. Wolę już moja matko, do innego należeć światu niż ten w którym takie się rzeczy dzieją. Pozwól mi matko w inny świat spojrzeć!

Patrzyła na mnie jasnymi oczami u których łzy oschły.

— Tak, wyrzekła zwolna, masz ojca Wacławo! może on przed tobą inny świat otworzy. Może on będzie szczęśliwszy ode mnie! To rzekłszy uściśnęła mię z czułością złączoną z gorączkowym niepokojem.

W godzinę potem z dziedzińca wyjeżdżał konny posłaniec wiozący Henrykowi stanowczo odmowną odpowiedź.

W przeciagu miesiąca odmówiłam ręki mojej dwóm młodym ludziom, z których jeden posiadał najpiękniejsze imię, drugi najznaczniejszy w okolicy majątek.

(d. c. n.)



# MAŁ I ZONA

POWIEŚĆ W TRZECH TOMACH

WILKIE COLLINS'A

TLÓMACZONA Z ANGIELSKIEGO

PRZEZ

Paulinę Wilkońską.

(Dalszy ciąg).

W czasie tej rozmowy Estera patrzyła się na Godfryda wzrokiem ponurym, nieruchomym, zimnym, jakoby trupim; Godfryd miał siłę nerwów niczem niewstrząśnioną; był obcym wszelkim wrażeniom wyobraźni, a jednakże na widok tych oczów przebiegły go dreszcze, i byłby chętnie uciekł z ogrodu. Mimo tego pozostał się niby przykuty w miejscu. Sięgnął do kieszeni i podał jej pieniądz w nadziei że przyjmie datek i zostawi go samego. Ale Estera podniosła tylko rękę i zatrzymała ją w powietrzu. Martwe jej rysy dziwny przybrały wyraz. Oczy na wpół rozwarte, odwróciła od jego spojrzenia, potem zatrzymała je nagle, wytrzeszczone, straszliwe jak gdyby coś po za nim ujrzała.

— Na cóż tak dziwnie spoglądasz, do stu szatańców? zapytał i obejrzał się przelekniony.

Gdy odwrócił się, kobieta biegnąc szybko uciekała jak gdyby ją straszne jakieś widma ścigały.

— Warjatka! zawołał, i w przeciwną udał się stronę. Przestraszyłem się po raz pierwszy w życiu, i to stariej kobiety! Czas, jak widzę, czas wielki zwykłym oddać się ćwiczeniom!

Spojrzał na zegarek: godzina śniadaniowa nadchodziła, a jeszcze nie wiedział co z listem do Anny zrobić.

Niema kobieta z martwą twarzą a wzrokiem przerażającym stawiała mu ciągle przed oczami. Ba! stara warjatka! Może kiedyś była kucharką a dziś na łaskawym jest chlebie. Nie trzeba o niej myśleć! Nie trzeba! — poszepnął, potem rzucił się na trawnik i rozważać począł, pod jakimby adresem list do Anny wypisać.

Widmo niemiej stanęło mu znowu w myśli. Godfryd przymknął powieki, ale i teraz widział ją przed oczyma duszy, z tabliczką w ręku na której coś tam kreśliła. Zerwał się z trawnika i — o dziwy! — w tej chwili jaśniej w jego zrobiło się myśli. Znalazł bowiem sposób załatwienia trudności, która go tak okropnie udęczała. „Dwie koperty!” zawołał. Sędzie dobrze: na jednej niezapieczętowanej z listem, położył napis: mistress Arnold Brinkworth.

Włożył ją w drugą, zapieczętując i podpisując: mistress Silvester. Wybornie! doskonale! że też na pomysł ten nie wpadłem od razu.

Niema kobieta zjawiała się znowu w wyobraźni jego, jak gdyby na rozwiązanie tej trudności wpływ stanowczy wywierała. Zatrwożył się tem wielce, bo zyliz wrażenie wywołane ukazaniem się stariej warjatki, nie miało coś spólnego z zagrożoną mu przez doktora niemocą? A może wbrew przyjętemu zwyczajowi, nie wypił jeszcze swojej zwykłej porcji Ale. Wyszedł zatem szybko z ogrodu, by się posilić co rychlej. Gdyby go zakładnicy byli zobaczyli, struchleliby zapewne z obawy tak był bladym i znekany niezwykle. Na szczęście spotkał jednego ze służby, kazał się do kredencera zaprowadzić i poprosił o butelkę Ale kawał chleba i sera.

— Podadzą natychmiast śniadanie, sir odrzekł kredencarz.

— A cóż tam będzie? zapytał.

Podano mu spis potraw i win rozmaitych przeznaczonych na śniadanie.

— Niech lichu weźmie wasze łakocie. Wolę ja stare Ale, kawał chleba i sera.

— A gdzież to podać?

— Tutaj, w kredensie, a im prędzej tem lepiej.

Podano natychmiast czego zażądał. Kredencarz w niemem zdziwieniu spoglądał, jak syn lorda i tak wielce znakomity w kraju człowiek, pochłaniał chleb ze serem i zapijał Ale, przy zwyczajnym stole lokajskim. To też zapewne ośmielony tem spoufaleniem się, wyciągnął *betting-book* z kieszeni, i z uśmiechem wyrzekł:

— Zrobiłem zakład na pana przy pierwszych wyścigach o sześć funtów.

— Bardzo dobrze. Wygrasz zapewne! odrzekł Godfryd podsuwając kubek, by raz wtóry ulubionym napełnić go płynem.

Kredencarz nalewając poczuł się w tej chwili trojsie Anglikiem. Niechaj obce narody robią sobie rewolucje, niechaj obce upadają arystokracje, Bretońska arystokracja żyje w sercach ludu, i żyć tam będzie na zawsze!

— Jeszcze jeden! zawołał Godfryd — przechylił trzeci kubek i wyszedł.

Posiłek okazał się bardzo skutecznym, pokrzepił ducha, Godfryd poczuł się silnym i widmo niemiej kobiety zniknęło. Udał się potem do biblioteki by list do Anny napisać, ale zastał tam całe towarzystwo, oczekujące dźwięku śniadaniowego dzwonu. Cofnął się zatem by dopiero w czasie śniadania powrócić. Wtedy biblioteka pozostanie samotną, będzie mógł spokojnie list napisać i wyprawić posłańca, bez zwrócenia czyjebądź uwagi. Nadto, jako niewidzialny dla Arnolda przez godzin parę potrafił go przekonać, że widział się z Anną. Rozważył przeto Godfryd wszystko jak najdokładniej, i zajęty dalszym rozwojem swego planu siedł w ogród dalej bez celu.

## XXI.

W jednym kąciku biblioteki siedziała Biana z sir Patrikiem, gdy liczne towarzystwo podzieliło się na różne gromadki.

— Stryju! odezwała się młoda dziewczyna — od minut parę badam wyraz twarzy stryjaszka uważnie.

— Wielki to dla mnie zaszczyt, odrzekł sir Patrik, zważając na wiek mój podeszły.

— I czy odgadniesz, com wyczytała?

— Żem stary i czekam na śniadanie.

— Nie to. Wyczytałam, że na duszy stryja coś cięży.

— Romatyzm dokucza, moje dziecko!

— Oj nie, raczej coś innego. A muszę to wiedzieć.

— Ejże, Bianco! Wiedza bywa arcy-niebezpieczną: Ewę żądza świadomości wypędziła z raju: Faust szukał wiedzy i zgubił się, a cóż dopiero gdy młode dziewczę wyrzeczce: muszę wiedzieć.

— Stryja coś niepokoi, przed chwilą postąpiłeś sobie bardzo dziwnie.

— Kiedy?

— Gdy się ukryłeś w niszy z panem Delamayn. Mimo pracy bowiem przy pisaniu zaproszeń widziałam to dobrze.

— I nazywasz to pracą? Czy też istniała kiedy kobieta, któraby się wyłącznie całą duszą jakimubądź ziemskiemu przedmiotowi oddała?

— Zostawmy tę kwestję na raz drugi, odrzekła

Biana niecierpliwie. Co też stryju mogłeś mieć spólnego z panem Delamayn? Po tej rozmowie, widzę chmurkę posępną na twem czole, której przed tem nie było. Co ona znaczy?

Sir Patrik pomyślał czyby to nie było dobrze zwierzyć się Biance, bo powziął zamiar pojechania do Craig Fernie dla sprawdzenia tożsamości Anny z tamtą damą, o której mówił mu Godfryd. Wiedział, że mógł jej zaufać zupełnie zwłaszcza gdy chodziło o miss Silvester, ale rozważywszy, że najściślej ostrożność jest w obecnym razie konieczną, postanowił pierwój badania swoje odbyć w karczmie. Po chwili więc namysłu odezwał się do Bianki.

— Pan Delamayn zasięgnął rady mojej w pewnej wątpliwiej sprawie, w którą przyjaciel jego wpłątany został. Rzecz to nieciekawa bynajmniej dla ciebie, ale dla mnie jako prawnika nader interesująca. Dlatego zajęła mnie bardzo.

— Wyznaj stryju raczej, że nie chcesz mi jej powierzyć. Rozmowa z panem Delamayn powiadasz, że dotyczyła niby jakiegoś sporu prawnego, dla czegoż ci jednak tyle przykrości sprawiła? Jestem prawdziwie nieszczęśliwą, bo widocznie odstręczam tych, których kocham. Anna mi nie ufa i stryj także nie ufa, a ja tak pragnę serdecznie waszej sympatii choć mnie niemal od siebie odpychacie!... Pójdę więc do Arnolda on lepszym dla mnie będzie od was.

— Chwileczkę jeszcze, odezwał się sir Patrik ujmując ją za rękę. Wspomniałaś miss Silvester, czy masz dziś od niej jaką wiadomość?

— Żadnej, i to właśnie niepokoi mnie strasznie.

— A gdyby ktoś poszedł do Craig Fernie, by dowiedzieć się co ona porabia, czy uwierzyłabyś, że ten ktoś z tobą sympatyzuje?

Lica dziewczęcia zajaśniały radością i zdziwioną przycisnęła do ust rękę stryja.

— Czylibyś sam chciał pójść? zapytała z cicha.

— Niepowinienbym tego zrobić, karcąc cię za nieposłuszeństwo, że udałaś się do karczmy bez naszej wiadomości ale przeprosiłaś, obiecałaś poprawę więc przebaczyłem. Wielka to jednakże słabość ze strony głowy rodziny postąpić sobie wbrew zasady dla tego jedynie, że bratanka jest niespokojną. Pożycz mi swojego wolancika z kucem, to przejadę się i zawiadzę o Craig Fernie. Zobaczę miss Silvester i spełnię twoje zlecenie, jeżeli masz jakie.

— Och! stryju zawołała, Biana z radością i objawwszy sir Patrika za szyję szeptała mu coś do ucha.

— Miss Silvester musi mieć piękne i szlachetne przymioty, pomyślał stary szlachcic, skoro tak silne przywiązanie potrafiła zaskarbić sobie u tak miłego choć zepsutego dziewczęcia.

W tym samym czasie odbyła się w przedsionku równie ważna rozmowa pomiędzy lady Lundie a kredencierzem.

— Wcale to nie dobrze, mówił dawny sługa domu że Estera Dethridge znowu bzika dostała.

— Jaktó?

— Była zdrową zupełnie, wyszła do warzywnego ogrodu, ale gdy wróciła, to teraz rady z nią dać sobie nie możemy. Pragnie na resztę dnia być wolną od wszelkiego zajęcia gdyż powiada, że za wiele już tych gości i że jest pracą nad siły przeciążona.

— Nie powtarzaj mi Robercie tych niedorzeczności, krnąbrna i harda ta kobieta ma tylko jeszcze miesiąc tu pozostać, a jeżeli obowiązków swoich nie spełni jak należy, to jej zaświadczenia nie dam. Ktoż nam jednak dzisiaj objad ugotuje?

— Dziewczyna która jej pomaga. Sądzę że da temu radę.

— Jeżeli Estera nie zechce dziś gotować to od-  
dać ją jutro. Powiedz jej to i w takim razie od-



bierz od niej książkę rachunkową i połóż ją na moim pulpicie w bibliotece. Pójdę tam zaraz po śniadaniu, a gdy książkę zobaczę, domyszę się reszty. Obliczysz się z nią i niechaj odejdzie zaraz. Zadzwoń na śniadanie.

Rozległ się dźwięk dzwonu na śniadanie wzywającego i goście pośpieszyli do jadalnej sali.

Sir Patrik prowadził Biankę. Gdy jednakże do drzwi jadalni doszli, panienka przystanęła i jakby coś sobie przypominając zawołała nagle.

— Ach! zapomniałam, przepraszam stryja że go porzucam, ale tylko na chwilę i zaraz powrócę.

Sir Patrik wszedł sam na salę jadalną a Bianka do biblioteki pobiegła. Dziś po raz czwarty przysła tutaj spodziewając się przybycia Anny.

Ubiegło pięć minut ale ciszy dokoła nie nie prze-rwało. Nagle czujne jej ucho dosłyszało lekki szele-est. Przyskoczyła do okna i z rozkoszą uderzyła w dłoń. Wdzięczna a znana, ukochana zbliżała się postać: Anna nadchodziła. Pozostała jej wierna! Wybiegła i jakby w tryumfie wprowadziła ją do biblioteki.

— Droga, ukochana moja! szeptała jej — nie mi na list nie odpowiadałaś. Ale przybyłaś sama, zam-zgoda i przebaczenie, wzięła ją potem w obję-ę, uściśnęła serdecznie i odrzuciwszy gazową za-onę patrzyła w twarz Anny badawczo. Biedna mieniła się straszliwie. Niby przybyło jej lat kilka wieku a twarz jakiś okropny wyrażała spokój dreszczem przejmujący. Trzy dni i trzy noce bez wypoczynku prawie, złamały tę zbyt tkliwą istotę zmroziły ciepło jej serca. Umysł jej stępiał, oddychała, poruszała się, lecz był to jedynie cień tego jaką była dawniej.

— Och Anno! Anno! zawołała Bianka załamując ręce. Cóż stało się z tobą? Czegóż się trwożysz? Wypocznij! Nikt tutaj nie przyjdzie teraz, wszyscy są przy śniadaniu a służba przy obiedzie. O najdroższa moja, jesteś tak słaba, znękana, dziwna.... przyniśże ci posiłek jaki.

Anna przyciągnęła ją do siebie i w milczeniu poca-bowała w czoło, jak gdyby ani słów, ani łez, ani nawet westchnienia nie miała do odpowiedzi.

— Znużyłaś się, zmęczyłaś... zapewne pieszo przysłaś. Odeślę cię powozem, pieszo nie pójdziesz napowrót.

— Już nie powrócę do Craig Fernie — odrzekła Anna a głos jej był słabym, posępniejszym jak dawniej, ale był to zawsze jej głos miły, dźwięczny, łagodny, którego nawet i najstraszniejsza boleść zmie-nić nie potrafiła.

— Opuściłaś hotel? czy razem ze swoim mężem? zapytała Bianka.

Anna na pierwsze odpowiedziała pytanie.

— Nie mogłam zostać tam dłużej, miejsce to nie-stosowne jest dla mnie... Jak gdyby mnie jakie przekleństwo ścigało, wszędzie niosę biedę z sobą, Stary posługacz dobrym był dla mnie, usłusznym, i ztąd straszna pomiędzy gospodynią a nim wybuch-nęła kłótnia. Oddalił się, a ona czyni mi wyrzuty, że go straciła z mojej przyczyny. Po odejściu Bisho-priggsa złość jej nie zna granic. Zginął mi list, zarzucił się może, szukałam go, zapytałam jej czyli-go przypadkiem nie podniosła... to ją okropnie roz-gniewało, postanowiłam zatem dziś rano Craig Fer-nie opuścić i nie powrócić tam więcej.

Opowiedziała to wszystko jak gdyby rzecz obojęt-ną zupełnie, bez najmniejszego objawu wzruszenia. Poczem głowa jej jakby ocieężała na tył krzesła opadła.

— Nie będę cię pytaniami dreczyła — odezwała się Bianka ze współczuciem i łzami w oczach — ale chodź do mojego pokoju. Nikt tam nie przyjdzie. Nie możesz teraz w żadną puszczać się podróż.

Zegar ścienny uderzył kwadrans na drugą. Anna zadrżała.

— Któraż to godzina? zapytała.

— Kwadrans na drugą.

— Nie mogę tu pozostać!... chciałam się tylko dowiedzieć jednej rzeczy... lecz nie pytaj mnie o nic przez wzgląd na szczęśliwą przeszłość naszą.

Bianka z bólem serca pochyliła głowę.

— Nic nie uczynię czego nie zechcesz, odrzekła ocierając łzy zalewające jej policzki.

— Chciałabym dowiedzieć się czegoś. Czy możesz powiedzieć mi, Bianco....

— Cóż takiego?

— Jacy tu są panowie?

— Bianka spojrzała na nią z przerażeniem i po-myślała: cóż ją to może obchodzić? Czyżby przy-padkiem zmysł jej z powodu nieszczęść przez jakie przeszła nie uległ cierpieniu. Milczenie Bianki znie-cierpliwiło Annę, odezwała się więc powtórnie z na-ciskiem:

— Wymień mi ich nazwiska—bo muszę wiedzieć jacy tu są panowie.

Bianka wymieniła nasamprzód bawiących już da-wniej, a potem dodała że dwóch dziś z rana wróciło, to jest Arnold Brinkwort i ten jego nienawistny przyjaciel, Godfryd Delamayn.

Anna odetchnęła: dowiedziała się tego, czego pra-gnęła i po co właśnie do Windygates przybyła. Że zaś dziś Godfryd powrócił dopiero z Londynu nie mógł więc jeszcze być w Craig Fernie, a listów pi-sać nie lubił. Był zatem wytłomaczony, trwoga że ją opuścił była próżną, nadzieja ożywiła zmartwiałe serce biednej i cała postać pod tem zajaśniała wraże-niem. Bianka śledziła każdy jej wyraz i poruszenie każde.

— Musisz się czem pokrzepić. Jesteś zbyt wąt-ła i wycieńczona. Przyniosę ci wina i natych-miast powrócę.

Zaledwie drzwi za sobą zamknęła, gdy Godfryd wszedł drzwiami od strony ogrodu. Zajęty listem który miał napisać, zmierzał zwolna do jednego z bliższych stolików. Anna w smutnej zadumie, posłyszała że ktoś nadchodzi, spojrzała i poznawszy odetchnęła swobodnie. Nowe wstąpiły w nią siły, powstała, zapłonęła zlekka i pomknęła ku niemu.

— Godfryd! poszepnęła Anna składając dłonie.

Godfryd spojrzał w milczeniu nieruszając się z miejsca. Straszny gniew błyszczał z jego oczów: postanowił nie widzieć jej więcej, a ona znowu sta-nęła przed nim; chciał napisać do niej, a zmusiła go do rozmowy tyle mu wstrętnej. Przebrała się za-tem miara jej winy! pomyślał i w tej samej chwili jeżeli istniała w nim jeszcze jaka iskierka dla niej li-tości, to utraciła ją teraz całkiem i na zawsze. Anna zrozumiała to jego milczenie i poczęła tłoma-czyć powody przybycia swego do Windygates. U-sprawiedliwiała się biedna jakby nie przed swoim katem, który zabijając bezceści zarazem, ale jak ob-winiona przed swoją ofiarą.

— Wybacz, że tu przybyłam! rzekła z uczuciem zaciskając dłonie. Jedna Bianka wie tylko o mojej tutaj bytności, a ja nie zdradziłam twojej tajemnicy. Przy tych słowach nagle umilkła i zadrżała, bo coś strasznego jak pierw w twarzy Godfryda do-strzegła. Odebrała list twój — mówiła dalej — nie mam żalu do ciebie że był krótkim, bo wiem że listów nie lubisz pisać. Przrzekłeś w nim dać mi wkrótce o sobie wiadomość.... czekałam....

— To i czegoż chcesz ode mnie? zapytał Godfryd tonem, jak gdyby go jakiś obcy napastował natręt-nik. W Anny oku zaiskrzył się promień dawniej-szej energii, podobny do dogorywającego płomyka, który ostatni raz jeszcze jasny wyrzuca pobłysk.

— Jestem złamana przebytem cierpieniem — poszepnęła słabo — nie zmuszaj więc mnie bym ci

przykrość zrobiła, przypominając daną mi przy-sięgę....

— Jaką przysięgę?

— Godfrydzie! przez Boga czyliż zapomniałeś przysięgi że mnie zaślubisz?

— Żadasz jeszcze tego po tem co w karczmie się stało?

Anna uchwyciła się silniej jedną ręką stołu a dru-gą przycisnęła czoło. Widocznie nie mogąc myśli zebrać powtarzała głucho, jakoby bezprzytomnie:

— W karczmie?... w karczmie?... Cóż się w kar-czmie stało?

— Poradziłem się prawnika, i wiem co mi czynić wypada.

Anna trzymając się ciągle stołu ażeby nie upadła, przystąpiła bliżej i położyła rękę na ramieniu God-fryda pytając drżącym głosem:

— Czy nie chesz mnie zaślubić?

— Jakżeż mogę coś podobnego dopełnić, gdy je-steś przecie zaślubioną Arnoldowi Brinkworth? An-na bez wydania głosu padła u stóp Godfryda zem-dlona, jak niegdyś biedna jej matka u stóp jego ojca. Nie zmieszało go to jednak ani na chwilę, wy-sunął nogi z pod fałdów jej sukni i patrząc się na nią bladą i martwą, półgłębko sam do siebie wyrzekł:

— Stało się!

W tej samej chwili szmer lekki posłyszal: Godfryd odwrócił się i wyskoczył drzwiami przez które wszedł był przed chwilą.

## XXII.

Bianka weszła z kieliszkiem wina w rękę. Zo-baczywszy zemdloną Annę, postawiła kieliszek na stole i ukłękła przy niej nie dziwiąc się omdleniu, bo widziała ją przedtem tak słabą i wycieńczoną. Gdy-by była wyjrzała oknem, zobaczyłaby jeszcze ucie-kającego Godfryda, zanim w bok skrócić potrafił. Trzeźwiła zemdloną o ile umiała ale wszystko na-próżno: Anna leżała bezwładna i martwa. Już miała pójść zawołać o pomoc, gdy zwolna drzwi się otwarły i Estera Dethrigde weszła do biblioteki. Nieotrzymawszy zwolnienia od obowiązków na resz-tę dnia jak pragnęła, przystała na stanowcze odda-lenie ze służby lady Lundie i właśnie odnosiła książ-kę rachunkową. Położyła ją na pulpicie pani domu, a potem zwolna i zadumana, na powtarzane wołanie Bianki przystąpiła do niej i spojrzała się bez wszel-kiej oznaki jakiegobądź współczucia, na klęczącą panienkę, która zemdloną Annę w swoim trzymała objęciu.

— O mój Boże, mój Boże! Czyliż nie widzisz? zawołała młoda dziewczyna zniecierpliwiona. Oh Estero, nie mogę jej ocucić! Zmiłuj się i pomóż!

Estera potrząsnęła głową, spojrzała znowu, podu-mała, nakreśliła na tabliczce i podała Biance do przeczytania:

„Któż był przyczyną omdlenia?”

— Nikt! Nikt!

Estery oczy spoczęły na śmiertelnie bladym obli-czu Anny. Pamięć przywołała jej własne smutne dzieje: napisała znowu na tabliczce i dała do prze-czytania Biance.

— Przyczyna omdlenia mężczyzna. Najlepiej po-zostawić ją bez ratunku, a Bóg przyjmie ją do siebie.

— Okrutna, bez czucia kobieto! jak możesz coś podobnego napisać? zawołała Bianka ze zgrozą i po-chyliła głowę nad zemdloną, która tak była bladą że zdawała się już do żyjących nie należyć. Przy-cisnęła potem usta do jej zimnego czoła, do ust si-nych i zawołała:

— O ratuj Estero, ratuj! na miłość Boga!

Estera kiwnęła głową, opuściła tabliczkę, przykle-



kła także i znak dała Biance, że potrzeba suknie rozpiąć zemdlonej. Lecz zaledwo dotknęła się jej paska, Anna otworzyła ociężałe powieki i przymknęła je znowu, a z ust słabe uleciało westchnienie. Estera złożyła ją w objęciu Bianki, podjęła tabliczkę i napisała:

— Zadrżała gdy ją dotknęła, to znaczy, że mam po jej grobie przesłać.

Bianka przeczytawszy spojrzała z przerażeniem na Esterę i zawołała:

— Po cóż mnie straszysz? Przeraziłabyś ją na śmierć gdyby ciebie zobaczyła. Nie chcę cię obrazić, Estero, ale odejść lepiej!

Estera przyjęła ten nakaz jak zwykle każdy inny. Kiwnęła głową, spojrzała raz jeszcze na Annę, pokłoniła się Biance i wyszła. W godzinę potem wypłacił jej kredencierz zasługi, i pożegnała Windygates raz na zawsze.

Bianka odetchnęła wolniej gdy sama pozostała z Anną.

— Czy słyszysz mnie moja najdroższa? błagała.

Anna z wolna otworzyła oczy.

— Chwileczkę tak spocznij! Napij się troszkę wina. Anna była posłuszną jak dziecko, z wolna przychodziła do siebie, a Bianka chcąc ją jeszcze lepiej uspokoić, rzekła.

— Nie obawiaj się moja Anno, bo nikt tu nie był i nikt cię nie widział.

Anna powstała i uczyniła poruszenie jak gdyby do wyjścia z biblioteki. Bianka posadziła ją w krzesło...

— Pozostań tak spokojnie. Jesteśmy przez kwadrans bezpieczne zupełnie. Posłuchaj Anno, chcę ci coś powiedzieć!

Anna rękę Bianki przycisnęła do ust swoich, a ta mówiła dalej:

— Nie będę o nie pytała, nie przytrzymam cię wbrew twojej woli, nie zapytam nawet o mój list wczorajszy, ale nie pozwolę ci odejść, dopóki się nie zaspokoje co do losu twojego. Błagam więc zaklinam, uczyni rzecz jedną, łatwą bardzo a dasz spokój duszy mojej.

— Cóż takiego? zapytała Anna machinalnie tylko z myślą gdzieindziej odbiegła.

— Chcę, byś poradziła się stryja. Sir Patrik jest tobie przychylny i chciał nawet dziś być u ciebie w Craig Fernie. Jest on najmędrszym, najlepszym, najpocziwszym pod słońcem człowiekiem, i możesz mu zupełnie zaufać. Czy zechcesz rady jego posłuchać?

Anna ciągle się patrzyła w ogród wzrokiem osłupiałym, i milczała.

— Anno moja! Słówko jedno! błagała Bianka — powiedz tak, albo nie.

Anna odpowiedziała machinalnie: „Tak.”

Bianka była zachwycona, objęła Annę i przytuliła ją do serca.

— A teraz muszę do śniadania powrócić, ażeby nie uważali nieobecności mojej. Mam miejsce obok stryja, powiadomię go z cicha o wszystkim ażeby się wymknął nim powstaną od stołu. Pójdziecie do domku letniego, nikt tam teraz nie zajrzy, a ja pospieszę za wami zaraz. Do widzenia!

Anna ją przytrzymała.

— Nie mamy chwili do stracenia, Anno! Cóż cię niepokoi jeszcze?

— Czy jesteś szczęśliwą z Arnoldem?

Bardzo, o bardzo! On z dniem każdym więcej zasługuje na moje przywiązanie.

— Czy dzień ślubu waszego jest już naznaczony?

— Odbędzie się to może na jesień dopiero, gdy do miasta wrócimy.

— Pocałuj mnie, Bianco!

Bianka ją pocałowała, lecz Anna ciągle trzymała jej rękę, jak gdyby życie jej zależało od niepuszczenia jej od siebie.

— Czy będziesz mnie zawsze kochała? cichym zapytała głosem.

— Jakżeż pytać możesz o to najdroższa!

— Powiedziałam tak, gdyś mnie o to prosiła, i ja cię teraz proszę o ten jeden wyraz.

— Tak, Anno moja, o tak!

Anna popatrzyła jej w oczy z przejęciem i nagle puściła jej rękę.

— Do zobaczenia za chwilę!

Bianka wybiegła z nieokreśloną trwogą w sercu, do której sama przed sobą przyznać się nie chciała. Gdy weszła do jadalnej sali, goście siedzieli jeszcze przy stole. Lady Lundie łajała, że późno przychodzi. Bianka uniewinniła się z całą pokorą na jaką zdobyć się mogła, przeszła przez salę, usiadła przy stryju i wzięła pierwszej lepszej potrawy na talerz. Sir Patrik spojrzał na nią dziwiąc się w duszy, co stało się z brataną, i coby była za przyczyną jej tak niezwykłego roztargnienia. Rozmowa o politycznych sprawach kraju, przzerwana na chwilę małym towarzyskim wypadkiem zawiązała się znowu. Gwar szczył się wkoło, i Bianka zdołała poszepnąć sir Patrikowi:

— Tylko nie dziw się stryju bardzo gdy ci powiem, że Anna jest w bibliotece....

Uprzejmy pan Smith podał jej właśnie pasztet z trufkami.

— Dziękuję, dziękuję! rzekła niecierpliwie. Stryju kochany idź do niej! Jest w stanie okropnym.... potrzebuje rady... opieki...

Pełen wyszukanej grzeczności pan Janes posunął jej tort z konfiturami i kremy.

— Ślicznie dziękuję! Niech stryj pójdzie z nią do letniego domku pobiegne z pośpiechem za wami.... Ale spiesz się stryju bo czas nagi!... oby tylko nie było zapóźno!

W tejże chwili na drugim końcu stołu, lady Lundie rozkroiła sławny placek szkocki i częstując sir Patrika dodała.

— Jest to mój placek.

Sir Patrik jednak bacząc na swoje lat siedmдесят, nie chciał podobną niestrawnością nadużywać sił swego żołądka i podziękował.

— Ależ to jest mój placek powtórzyła lady i podając na widoku ten zlepek przeróżnych mięs zianu dodała: Czy nie dasz się Sir uprosić?

— Ułomny śmiertelnik odrzekł Sir Patrik, podlegając różnym pokusom. Jeżeli jednak rozumem się rządzi, to cóż w takim razie uczyni?

— Zje kawałek mojego placka.

— Nie! chyląc głowę z cześcią przed bratową odrzekł sir Patrik rozumny przed pokusą ucieka, i nie podejrzrywany o nie wyszedł z pokoju.

Lady Lundie spuściła oczy z wyrazem pobłażliwości na wszelkie słabości ludzkie. Sir Patrik zaś przewidując, że biesiadnicy na czele z panią domu, w przeciągu minut niewielu od stołu powstaną, pospieszał o ile na to jego kulawa noga dozwalała. Z wyrazem niezwykłej powagi i niepokoju wszedł do biblioteki. Obejrzał się miss Silvester nie było.

— „Uciekła!” poszepnęła. „To nie dobrze.”

Po chwilowym namyśle wyszedł do przedpokoju i wziął kapelusz ażeby pójść do domku letniego.

— Może lękała się czyjego spotkania i sama tam napróżd pobiegła? A jeżeli jej tam nie będzie? Zastanowił się: pociągnął za dzwonek i przywołał służącego swojego, któremu wszędzie i zawsze mógł zaufać.

— Weź kapelusz swój, Dunkanie, i chodź ze mną.

# XXIII.

Pan i sługa pobiegli w milczeniu pomiędzy kłombami, a gdy już byli blisko domku, sir Patrik kazał Dunkanowi poczekać, i sam wszedł do niego. Ale i domek tak był pustym jak biblioteka. Wyszedł, przystanął i obejrzał się w koło nikogo nigdzie widać nie było.

— Dunkanie zawołał — biegnij do stajni i powiedz, że miss Bianka pozwoliła mi swojego wolancika z kucem: niechaj zaprzęgą i poczekajcie na mnie. Nadejdę zaraz, tylko pamiętaj, że nie chcę zwracać uwagi że wyjeżdżam. Pojedziesz ze mną, weź z sobą wykaz odchodzących i przybywających pociągów Czy masz co pieniędzy?

— Mam, panie.

— Czy widziałeś kiedy guwernantkę miss Silvester.

— Widziałem.

— Czy poznałbyś ją?

— A jakże. Dystygowana to bardzo osoba.

— Czy sądzisz, że i ona poznałaby ciebie?

— Nie spojrzała nigdy na mnie, sir.

— Zabierz i bieliznę z sobą, bo może dni parę zabawisz w drodze. Zwracam przytem twoją uwagę, że jest to sprawa wymagająca milczenia i że ufam ci jak samemu sobie.

— Dziękuję, sir.

Dunkan pospieszał ku stajniom uszczęśliwiony z zaufania swego pana, a sir Patrik do domku letniego powrócił. Niecierpliwił się, biegł, raz po raz zażywał tabaki, to wychodził przede drzwi, to cofał się znowu. Zniknięcie Anny wielką nastroczyło przeszkodę w zbadaniu całej sprawy, a teraz tracił czas drogi czekając na Biankę, która wreszcie nadbiegła zadyszana i z mocnym na licu rumieńcem. Sir Patrik wyszedł na jej spotkanie.

— Przygotuj się na zawód, dziecko kochane — odezwał się zobaczywszy ją wchodzącą, bo sam tylko tu jestem.

— Jaktó stryju! Pozwoliłeś jej odejść?

— Nie widziałem jej wcale, dziewczeczko moja.

Bianka wbiegła do domku, sir Patrik szedł za nią.

— O! Boże mój! zawołała Bianka z boleścią przekonawszy się o nieobecności Anny, tyle nad nią boleję, a ona i troszkę dla mnie nie ma litości!

— Nie sądzmy jej za porywco, dziecko drogie rzekł Sir Patrik tuląc ją w swem objęciu, nie możemy wiedzieć jaka ją konieczność do tego skłoniła. Widać że z tajemnicą swą nie może powierzyć się nikomu i dla tego widocznie pozbyła się ciebie, ażeby bolesnego pożegnania uniknąć. Uspokój się, mam nadzieję że ją odszukam, ale dopomóż mi w tem musisz także.

— Och! i ojciec mój kochany nie był dla mnie lepszym od stryja! zawołała Bianka. Ale cóż mam czynić?

— Opowiedz mi wszystko, ale wszystko, co zaszło w bibliotece. Nie opuszczaj najdrobniejszego szczegółu. Bo te szczegóły drobne mogą dla nas równie być ważne, jak minuta każda w tej chwili.

(d. c. n.)



Dalszy ciąg opisu dodatku arkusowego,  
dołączonego do N. 10. Tyg. M6d.

Rycina 14 przedstawia aksamitny pantofelek, na pasowej flaneli, z obcasem pasowym i z taką kokardą ze wstążki. Drugi trzewik atlasowy zastosowany do koloru sukni, służy do balowego ubrania; kokardę przepina sprzączka złota, obcas obciąga się także atlasem. Do białych trzewików, daje się kokarda kolorowa, odpowiednia sukni. Ryc. 16 podaje kokardę ze wstążki do pantofla lub bucika.

N. 17—20. Wachlarz z koronką.

Fig. 52. Deseń z irlandzkiej koronki na wachlarz i w koło bukietu.

Ryc. 17 przedstawia bukiet, piękną otoczony koronką, dodajemy że mankiet koronkowy, chustka z bogatym szlakiem da się tutaj zastosować. Wachlarz z słoniowej kości Fig. 18, wymaga kolorowej materji na spód z wysiępaną 2 i pół cent. szeroką frendzelką, na czem się ładnie odbija koronka. W środku koronki zostawione jest wolne miejsce na litery przedstawione osobno na ryc. 33 i 34. Podobne litery można dać także na grzbiecie wachlarza, jak to widzimy na ryc. 19. Ryc. 20 podaje deseni koronki w naturalnej wielkości.

N. 21. Bucik dla dziecka.

Bucik na pół-pasowej podeszwie, z popielatego buksinu obłożony skórą lakierowaną; cholewka zachodzi powyżej kostki. Bucik ten barankiem obłożony, podbity pasową flanelą spinają z obu brzegów guziki i elastyczne pętelki.

N. 22. Kamasz dziecienny.

Opis i krój na dodatku N. IX fig. 19.

N. 23 — 27. Meble z mechanicznym urządzeniem.

N. 23—25. Sofa do spania.

Coraz ciasniejsze mieszkania, nieraz już wykazywały potrzebę użytkowania sof w miejsce łóżka. Mniej elegancka forma niebardzo była używana, ale obecnie stolarze mebel ten doprowadzili do takiej doskonałości, że użyty jako łóżko, wcale nie szpeci pokoju. Oparcie sof jest tak urządzone że składa się do środka, tworząc z lewej strony wygodny materac włosiem wychany, przez to najkosztowniejsze pokrycie nie może być uszkodzonym, a wygodą jest kompletna. Dół sof, zakończony szeroką frendzlą, lub kontrafaldowaną falbana. Umeblowanie pokoju uzupełniają fotele odpowiednie formie sof (ryc. 26) i podnóżek rycina 27.

N. 26. Fotel odpowiedni do sof.

N. 27. Podnóżek do sof.

N. 28. Wstawka koronkowa do bluzki ryc. 37.

N. 29—34. Tabliczka i szrubowana tacka do kart.

Litery na dodatku fig. 53.

Oba przedmioty użyteczne przy grze w karty, haftują się na skórze, aksamicie lub suknie.

N. 29. Tabliczka z haftowanym szlakiem.

Porcelanowa biała tablica 19 cent. długa 14 cent. szeroka oprawiona przez introligatora, z pochewką z boku

na ołówkę ma gąbkę na sznurku, przyczepioną do obrączki. Szlak dany w około ze skóry wyszywa się jak deseń wskazuje na ryc. 30—31.

N. 30 i 31. Dwa szlaczki do tablicy, używanej przy grze w karty.

Rycina 32 przedstawia rodzaj podstawki lub tacki, wycinanej w deseń z ciemnego drzewa. Środek pokrywa skórą, ozdobioną pięknymi literami, otoczoną szlakiem z jedwabnego sznurka lub kordonku w cieniu skóry. Litery robią się grubym jedwabiem i złotą nitką. Ryciny 33 i 34 podają dwa desenie do wykonania liter atlasowych.

N. 35. Strojniejszy czepek.

Opis i krój na dodatku N. VIII fig. 18. Zobacz także N. 7 w Tygodniku M6d N. 11.

N. 36. Wycięta bluzka z prostym karczkiem.

Piękny garnirunek muslinowej bluzki, spiętej na 2 guziki w tyle, stanowi karczek 44 cent. na przodzie, a na każdej części pleców 21 cent. wynoszący, tworzy go 3 1/2 cent. szoroki w podłuż zakładany kawałek muslinu i 2 cent szeroka tiulowa wstawka, kolorowo podwleczona. Ramiączka z wstawki kolorowo podwleczonej, 16 cent. długie, spajają karczek, od nich idące muslinowe, nadmarszczone bufki tworzą rękawki. Bluzka przyrządza się w pasie dla łatwego ściągania na tasienki z 7 cent. długim karczkiem. Bufki rękawków zakończą tiulowa podwleczona wstawka. Tak wykroj szyć, jak bufki ozdabia wstążką, układaną w ząbki 2 1/2 cent. duże, z po za których wystaje biała gipiura.

N. 37. Wycięta bluzka przybrana koronką.

Opis i krój na dodatku N. II Fig. 5—6.



N. 1. Ubranie z koronkową zarzutką dla mężatki.

N. 2. Strojne ubranie z włóczkową talmą. Zobacz ryc. 3 i 4.

N. 38. Stanik wycięty w kwadrat z półdługimi rękawami.

Forma wycięcia stanika i rękawy, oznaczają strojniesze ubranie. Spódnica będąc z długim trenem, pozostaje gładka. Model czarny aksamitny lub z ciężkiej materji,

wymaga pięknych koronek. W koło wykroju stanika przyłastrzygowawa się 4—5 cent. szeroka koronka, wykroj zaś założony jest szmizetką z cieniuteńkiego muslinu, tarlatanu, krepy lub tiulu, w zakładki załamywanego.

N. 39—40. Stanik z karoczką.

Kroj i opis na dodatku N. I Fig. 1—4.

Opis do N. 11.

N. 1—2. Strojne ubrania.

N. 1. Ubranie z koronkową zarzutką dla mężatki.

Suknia aksamitna lub ciężka jedwabna z gładką powłóczystą spódnicą. Stanik wycięty na przodzie i półszerokie rękawy, dopełnia szmizetka tiulowa z rękawami, przybrana koronką i haftem. Szerokie koronkowe okrycie, spada od głowy w przesłicznych draperjach. Kwiat lub kokarda przytwierdza go po nad czołem.

N. 2. Ubranie z włóczkową zarzutką.

Na jedwabnej kolorowej, biała gazowa suknia, ubrana falbankami i różami, z ciężką rypsową szarfą w kolorze sukni. Wieniec z róż nad czołem; rękawiczki na ośm guzików zapinane i atlasowe buciki jak suknia, dopełniają całości. Biała włóczkowa zarzutka robiona w ramkach, stanowi dogodne okrycie, oszyte puszkami i wyłożone w kapturku różowym atlasem. Frendzla bombelkowa zakończy brzeg dolny okrycia. Rycina 3 i 4 podaje nań rzucik.

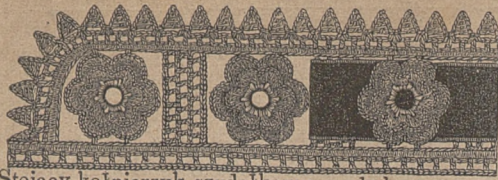
N. 3—4. Rzucik na talmę do ryciny 2.

Cała z białej włóczki i jedwabiu, albo dając ten ostatni kolorowy, peleryna powyższa ma rzucik łatwy do odrobienia podług ryciny 3—4. Lekko karbowany i gładki rozkręcany jedwab nadaje jej wiele światłości. Rycina 3 podaje wierzch; ryc. 4 spód roboty cokolwiek zmniejszony. Na ryc. 3 łatwo rozróżnić rozpinanie nitki, ryc. 4 wskazuje ciemniejszą nitką oznaczony sposób robienia deseni. Jedwab karbowany rozpina się najpierw, potem idzie gładki jedwab, a na koniec krzyżujące się włóczkowe nitki, co sprawia że włóczka stanowi podstawę, a jedwab deseń.

N. 5. Szydełkowy stojący kołnierzyk.

Najpierw odrabiają się pojedynczo rozety, z cienkiej bawełny, na zaczęcie każdej robi się kółko z 12 oczek złożone, które obrabia w koło 18 sc. oczek danych kolejno po 3 scisłych, 3 pow. oczka. Wewnętrzne kółko z listków powstaje przez wrobienie w każdych 3 p. poprzedniego rzędu 1 sc. oczko 6 słup. i 1 sc. oczko. Zewnętrzne kółko liczy w 1 rzadku na przemian 1 sc. oczko wrobione pod trzema scisłymi oczkami i 6 powietrznymi. Ostatnie, obrabiają się w 2 rzadku, 1 sc. oczkiem, 10 słup. i 1 sc. oczkiem. Następnie odrabia się łańcuszek na górny brzeg kołnierzyka, przytwierdzając w robieniu po każdych 20 ocz. rozetkę dwoma listeczkami. Dolny brzeg kołnierzyka, stanowi łańcuszek jednocześnie z trzema rzadkami tam i napowót odrobionych słupków, składających przegródki między rozetami odrobionymi. Przegródki te wymagają 20 oczek jako podstawę. Rządek sc. oczek i słupków uzupełnia brzeg górny kołnierzyka. Na ząbki przegradzane 2a pow. oczkami, trzeba 6 pow. oczek i 1 sc. w czwarte poprzednich wrobionego, a w następującym pow. oczku 1 słupka.





N. 5. Stojący kołnierzyk szydełkowy, podwleczony aksamitką lub wstążką.

N. 6. Stojący frywolitkowy kołnierzyk, wstążką podkładany.

Kołnierzyk ten łatwy w wykonaniu objaśnia suma rycina.

N. 7. Strojniejszy czepek.

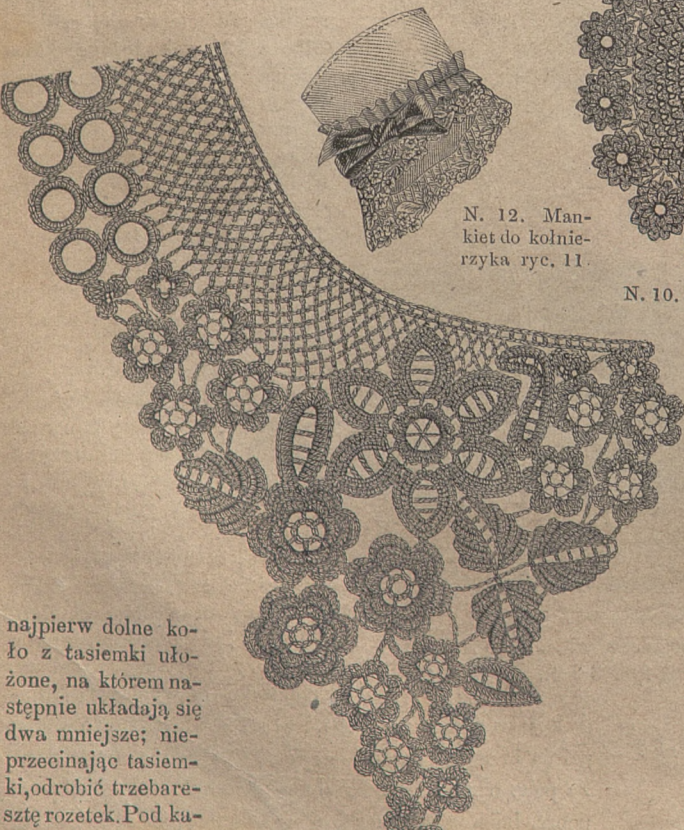
Opis na dodatku N. VIII fig. 18. Zobacz także rycinę 18 w Tyg. Mód N. 19.



N. 7. Czepek wizytowy. Zobacz ryc. 35 w Tyg. Mód N. 10.

N. 10. Serwetka owalna na stolik z tasiemki w ząbki i roboty szydełkowej.

Robota serwetki polega na składaniu tasiemki lnianej z ząbeczki, które się z lewej strony, zezepia ściśniętymi i powietrznymi oczkami. Rozetki tasiemką i szydełkiem wykonane składają szlak serwetki. W rozetkach robi się



najpierw dolne koło z tasiemki ułożone, na którym następnie układają się dwa mniejsze; nieprzecinając tasiemki, odrobić trzebarenszą rozetek. Pod każdą pozostawia się kawałek tasiemki,

N. 11. Kołnierzyk szydełkową robotą.

N. 8. Negliżyk z bufką w fałdki układaną.

Krój i opis na dodatku N. VI fig. 14.

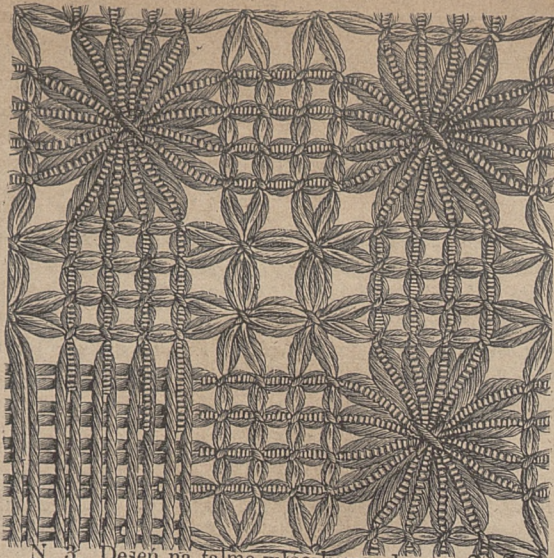
N. 9. Koszyk do papierów z wykładem.

Fig 51. Deseń na wykład do koszyka.

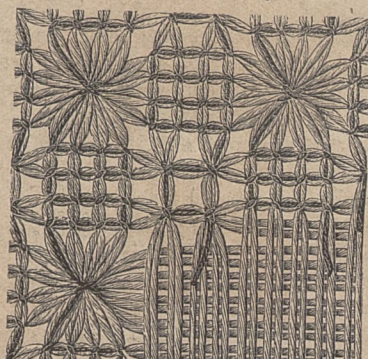
Materiał: Kolorowy ryp, jedwabna plecionka tegoż samego koloru, czarny kordonek, złoty sznurek, czarne paciorki. Perkal, drut i kwasty 8 cent. długie.

Koszyk brązowo lakierowany na wykład czyli lambrękinę w zęby

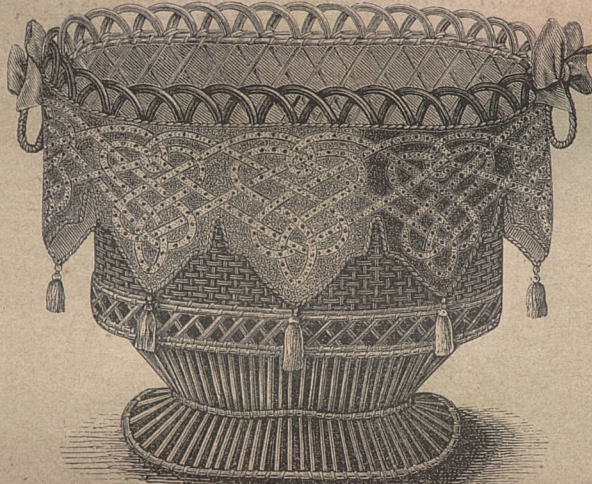
ciemno zielone. Deseń z fig. 51 odrabia się zieloną jaśniejszą plecionką czarno przydzierganą. Środkiem idzie złoty sznurek zawleczony paciorkami jak na rycinie 9 gdzieniegdzie przesyty. Podszewkę przytwierdza w koło zębów dany sznurek, kwastami ozdobiony. Także sznurek otacza górny brzeg wykładu uzupełniony dwoma kokardami.



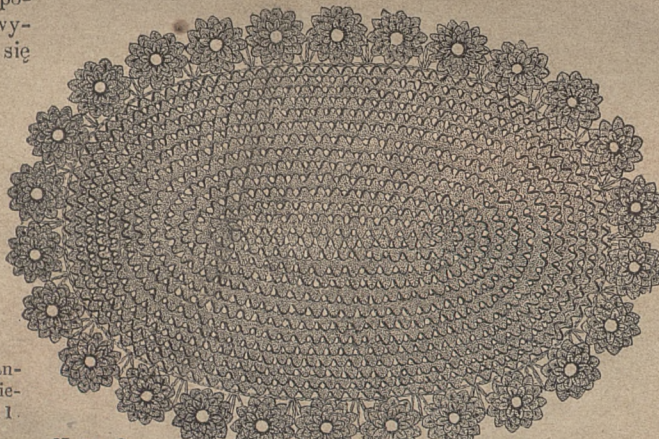
N. 3. Deseń na talnę włóczkową do ryc. 2. Strona wierzchnia.



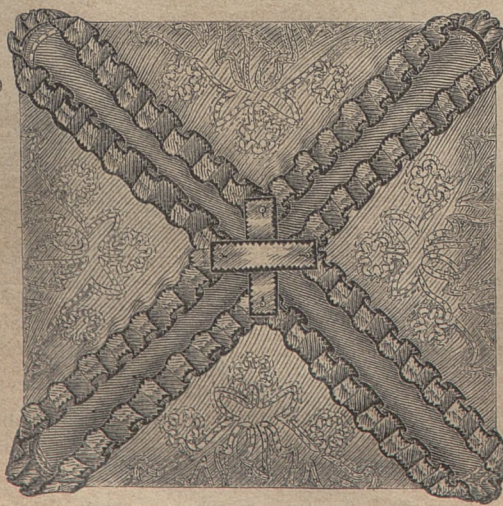
N. 4. Deseń na talnę włóczkową do ryc. 2. Strona dolna ze wskazówką wykonania roboty w ramach.



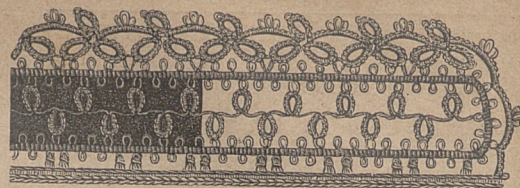
N. 9. Kosz do papierów z wyszywaną lambrękiną. Deseń w dodatku Fig. 51.



N. 10. Serwetka z tasiemką w ząbki i roboty szydełkowej.



N. 15. Torebka do chowania przyborów toaletowych. Deseń w dodatku Fig. 20.



N. 6. Stojący kołnierzyk z frywolitów podwleczony wstążką.



konieczny dla łatwiejszego zezepienia szlaku szydełkowym ścięciem. Wykończeniu rozetek, trzeba je spojrzeć przyczepić do środka serwetki ściśniętymi i powietrznymi oczkami, dodając zagłębieniach po trzy słupki.

N. 11 — 14. Dwa szydełkowe kołnierzyki z mankietem.

Cienkie nici N. 120 i 200.

Kołnierzyki te obydwa wykładane, dadzą się urządzić także jako stojące, w takim razie, trzeba dać wykroj szyi zupełnie prosty, a końce tak odrobić, żeby się wywinęły jak ranwers. Ryc. 12 przedstawia mankiet odpowiednio przyrządzony, prosty. Ryciny bardzo wyraźnie wskazują sposób odrobienia, podajemy jednak dla ułatwienia ryc. 14 jako próbkę na gwiazdę do kołnierzyka ryc. 13.

N. 15. Torebka do chowania drobiazgów toaletowych.

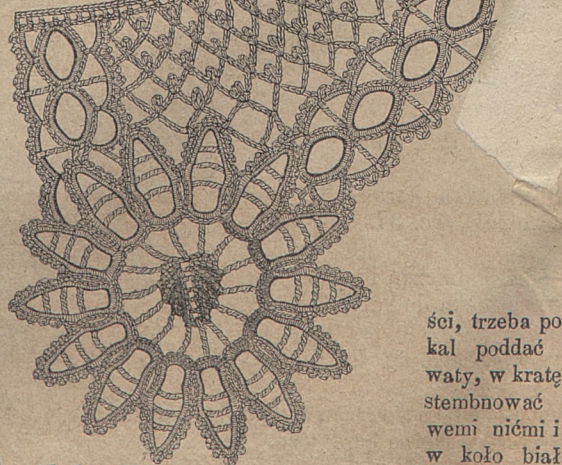
Deseń wyszycia na dodatku fig. 20.

Materiał: Biała pika i perkal, pasowe nici, biała bawełna, białe guziki.

Całość składa 40 cent. wynoszący kwadrat, którego cztery rogi założone jak na rycinie 15, łączą na krzyż dając paski z guzikami. Arabeski z pasowych i białych nici ozdabiają pikową kieszonkę, sznurkowym ścięciem wyszytą; prócz tego idzie pasowy łańcuszek, deseń podaje fig. 20. W koło idzie 4 cent. szeroka rūsza, wydziergana w pasowe ząbki z dwóch brzegów. Dla sztywności,



N. 14. Wykonanie ząbków rozety do ryc. 13.

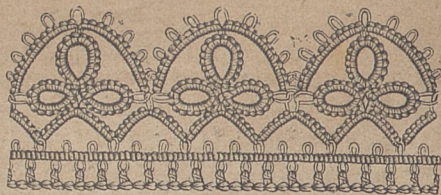


N. 13. Kołnierzyk szydełkową robotą.

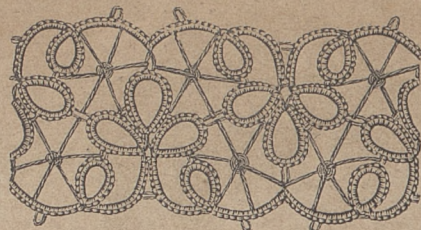
ści, trzeba pod perkal poddać trochę waty, w kratę przestębnować pasowymi niemi i objąć w koło białą lamówką. Prócz tego daje się jeszcze osobne pokrycie objęte w koło ta-



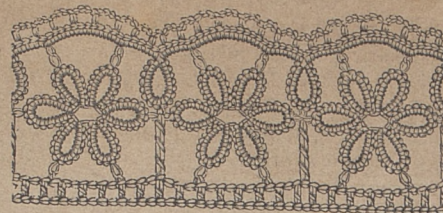
siemką pasowo przystębnowaną na rogach przyczępione, powstała pod niem torebka, służy na schowanie rozmaitych toaletowych przedmiotów. Paski 10 cent. długie na krzyż spinane, otrzymują dziurki do guzików; jeden brzeg paska przyszywa się do rogu torebki, drugi zapina na guzik przeciwny.



N. 16. Koroneczka z frywolitów, roboty szydełkowej i plecionki „mignardise.”



N. 17. Wstawka z frywolitów i pajęczków.



N. 18. Koroneczka z frywolitów i roboty szydełkowej.

N. 28. Szlafrok dla chłopczyka.

Opis i krój na dod. N. XII fig. 28—31.

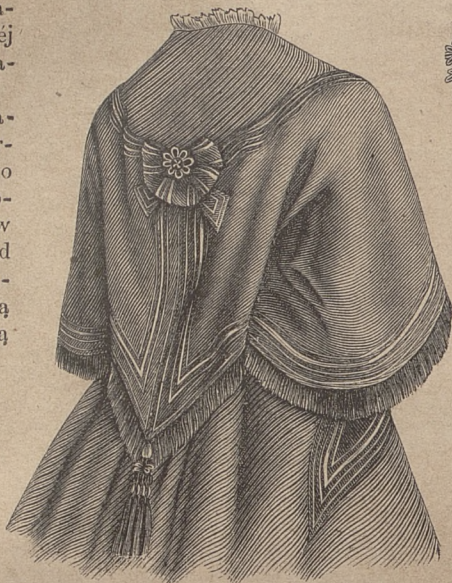
N. 29. Strojnieszyszy czepek.

Opis na dod. N. VIII fig. 18.

N. 16—18. Dwie koronki z frywolitów i także wstawka.

Dokładność rycin uwalnia nas od szczegółowych opisów, dodajemy tylko że odrobione białe służą do bielizny, wykonane z czarnego jedwabiu zastępują najzupełniej pasmanterję, pięknie odbijającą na kolorowej materji.

Koronka ryc. 16 i 18 dają się także użyć jako torsady nad frendzlą nie tylko przy krawatkach, ale i do okryć aksamitnych, paletotów i t. p. Dają także po nad frendzlą do czarnych jedwabnych sukien frywolitową wstawkę, fijołkową aksamitową wstawką podłożoną.



N. 19. Aksamitny kaptur kapeluszy dla starszej osoby.

Opis i krój na dodatku N. XVI. Fig. 47—50.

N. 20—24. Kaptur w kształcie mantylki.

Krój i opis na dodatku N. IV Fig. 11.

N. 20. Kaptur w kształcie mantylki. Krój i opis na dodatku N. IV Fig. 11. Zobacz ryc. 21.



N. 19. Kaptur kapeluszy. Zobacz ryc. 4 w T. Mód N. 10.



N. 25. Stanik z baskiną.

Paletot powyższy weinany, z rozporkami na bokach długi 77 c. w tyle, 62 c. z przodu, z ciemno szafirowego „velours,” ma na brzegu zachodzącym z przodu czarną, z obu stron aksamitem wypustkowaną, rypową plisę, 4 cent. szeroką. Podobną plisę, widzimy na kłapkach kieszeniowych, 13 cent. wysokich w górze 18 cent. u dołu 21

N. 31—32. Kaftanik dla dziewczynki.

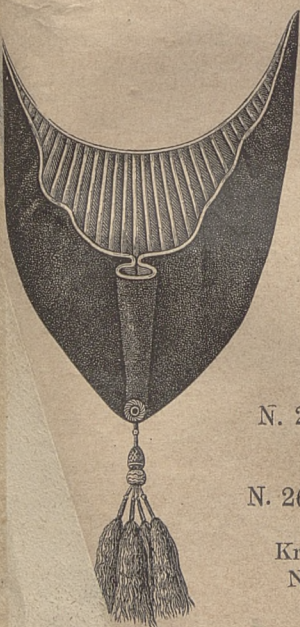
Opis i krój na dod. N. XI. fig. 25—27.

N. 33—34. Kaftanik dla dziecka od 1 do 3 lat.

Krój i opis na dod. N. XIV fig. 41—44.

N. 35. Kaftanik weinany z aksamitnymi bokami.

Paletot powyższy weinany, z rozporkami na bokach długi 77 c. w tyle, 62 c. z przodu, z ciemno szafirowego „velours,” ma na brzegu zachodzącym z przodu czarną, z obu stron aksamitem wypustkowaną, rypową plisę, 4 cent. szeroką. Podobną plisę, widzimy na kłapkach kieszeniowych, 13 cent. wysokich w górze 18 cent. u dołu 21



N. 25. Stanik z baskiną.

N. 26. Kaptur do okrycia.

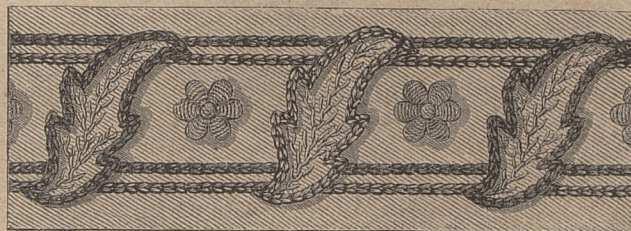
Krój i opis na dodatku N. V. Fig. 12 i 13.

turek do opis N. V. 13.

N. 27. Kaptur do okrycia.

Krój i opis N. XV. fig. 45 i 46.

N. 21. Mantylka użyta jako kaptur. Krój i opis N. IV Fig. 11. Zobacz ryc. 20.



N. 22. Deseń na szlaczek do kapturów, kaftaników itd. Do ryc. 21.

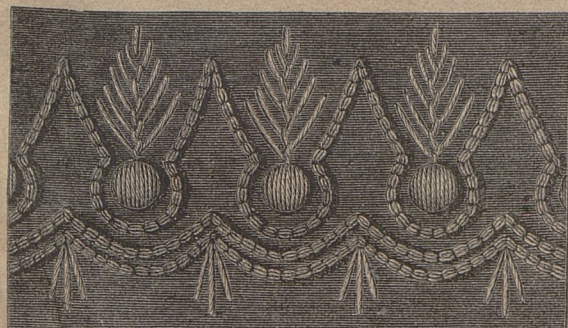


N. 23. Szlafrok dla chłopczyka

od 7 do 10 lat. Krój w dodatku N. XII Fig. 23—31

cent, szerokości liczących. Kłapki te wypadają na odstęp 12 cent. od dolnego brzegu, a 22 cent. od przodu. Garnirunek boków 8 cent. przy pasze szeroki, zachodzący na rozporki i na 15 centymetrów rozszerzony ku dołowi, powinien być z aksamitu czarnego z 2 cent. szeroką aksamitem wypustkowaną rypową plisą. Pół szerokie rękawy, ubierają

N. 27. Kapturek do okryć. Krój i opis w dodatku N. XV fig. 45 i 46.



N. 23. Deseń do wyszycia kaftaników, kapturów i t. d.



N. 24. Deseń do wyszycia kaftaników, kapturów i t. p.



się 4 cent. szeroką aksamitną plisą, mającą z obu stron plisy rypzowe wypustkowane, podobnie szerokie. Materja podszyty stojący kołnierzyk zaokrąglony z przodu, obejmuje się jak dół boków atłasem. Z rypsu, aksamitu i atłasu przyrządzone guziki, zdobią dwoma rzędami przód, kaftanika, dwa odznaczają wcięcie pleców.

Filcowy kapelusz z aksamitnem rondkiem, czarnym gazowym woalem, spadającym piórem po lewej stronie, białą kitką z przodu i sutą aksamitną kokardą dopełnia ubrania.

N. 36. Luźny paletocik obłożony futrem i aksamitem. Krój i opis na dodatku N. III Fig. 7—10a.

## O BIELIZNIE.

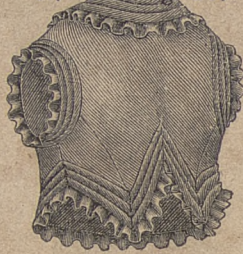
Cheąc uzupełnić wiadomości dotyczące się bielizny, zaszliśmy do pracowni św. Marty, i tam przejrzelśmy wszystkie nowości wykonane z wytwornym gustem. Zakładowi temu, w duchu chrześcijańskiej miłości bliźniego ufundowanemu, który od lat kilkunastu istnieje, dając naukę i zajęcie tylu osobom, potrzebującym w możnej pracy igły, szukać środków utrzymania, pierwszeństwo niezaprzeczane pod każdym względem należy.

Zaczynamy od koszul dziennych damskich wykwintnie uszytych. Karczki układane w podługie bardzo głębokie okrągławe zęby z listewek płóciennych i wstawek z koronki nicianej, przyhaftowanej do tejsze listewki, a zarzuconej supełkami haftowanymi. Karczki ten z przodu miał blisko 5 cali szerokości, ku ramionom znacznie się zwężał, tak, że na ramionach zaledwie pół trzecia cala był szeroki, plecy zaś do całych trzech cali dochodziły, co nadawało bardzo ładny kształt wycięcia koszuli.

N. 30. Suknia dla panienki od 9 do 13 lat. Krój w dodatku N. X. Fig. 21 — 24. Zobacz kaftanik ryc. 31 i 32 oraz ryc. 6 i 7 w T. Mód N. 10.



N. 29. Ubiorek wizytowy. Krój w dodatku N. VIII. Fig. 18.



N. 32. Kaftanik bez rękawów do ryc. 31.



N. 33. Kaftanik dla dziecka od 1 do 3 lat. Krój i opis na dodatku N. XIV Fig. 41—44.



N. 34. Garnirunek do kaftanika ryc. 33.

Rękawki były w takie same zęby układane. Od uszycia takiej jednej koszuli z dodatkiem koroneczki płaci się rs. 3.

Drugi garnitur koszul miał karczki podług powyżej opisanego fasonu, to jest zwężony ku ramionom, otwarty nieco na przodzie w ząb i haftowany w 4 rzędy okrągłych ząbków, formujących jakby karpia łusczkę, dwa pierwsze rzędy od dołu, wycięte ażurowo miały w miejscu płótna śliczne pajęczki z cieniuchnych nici, trzeci rząd mato- wy płócienny, w każdym ząbku haftowane pęczki, ostatni zaś rząd jak dwa

Pierwsze, tworzył niby koroneczkę oszywającą. Rękawki bardzo wąskie odpowiednio odrobione. Uszycie takiej ko-

szuli wynosi rs. 3. Trzeci garnitur składał się z koronki nicianej całowój szerokości, naszytej w podług gorsu, i listewek przyhaftowanych dość nisko i okrągławo uformowanego; z tyłu karczki tak samo zrobiony szeroki był na 4 cale. Rękawki takie. Robota z koronką 4 ruble wynosiła od sztuki. Czwarty garnitur miał wstawkę całowój szerokości z valenciennes, ujętą w dwie przystembnowane listewki, u góry oszyte koroneczką, co stanowiło dokoła idący karczki dość wązkie, cały zaś przód koszuli ułożony był w zakładki drobniutkie, przedzielane co cztery, wstaweczką valenciennes na przemian. Robota z koronką kosztowała 5 rs. za sztukę.

Koszule u których karczki i rękawki tylko w drobniutkie zakładeczki były zrobione, u góry oszyte koroneczką nicianą, naznaczona była cena 10 złp. od roboty.

Noce koszule miały gors z poprzecznie danych batystowych bufek, przedzielanych zakładkami. Kołnierze całe w zakładeczki, rękawy tak samo jak gors ubrane. Z tyłu zachodzi szeroki dosyć karczki w ząb wycięty. Od roboty takiej koszuli z batystem płaci się 3 ruble.

Drugi garnitur koszul nocnych był od góry, aż do połowy stanu w ząb okrągławo wycięty, bez kołnierza, tylko ubrane wąziutką falbaneczką, idącą w górę przyhaftowaną listewką półcałowój szerokości.

N. 31. Kaftanik z szerokimi rękawami. Krój i opis w dodatku N. XI Fig. 25 — 27.

Gors utworzony był w ten sposób: 6 wąziutkich w podług zakładek, pasek haftowany ujęty w półcałową listewkę, dalej batystowa bufka, znów listewka, pasek haftowany itd. na przemian aż do boku. Rękawy odpowiednie. Karczki z tyłu w ząb skrojony. Robota z materiałem na ubranie wynosi 4 rs. Rękawki w ogóle tak do koszul nocnych jako też do kaftaników, urządzone są nie do zapinania u ręki, tylko do wsuwania.

(d. c. n.)



N. 35. Kaftanik do figury z aksamitnymi bokami.



N. 36. Luźny paletot z futrzaniem i aksamitnem obłożeniem. Krój w dodatku N. III Fig. 7—10.